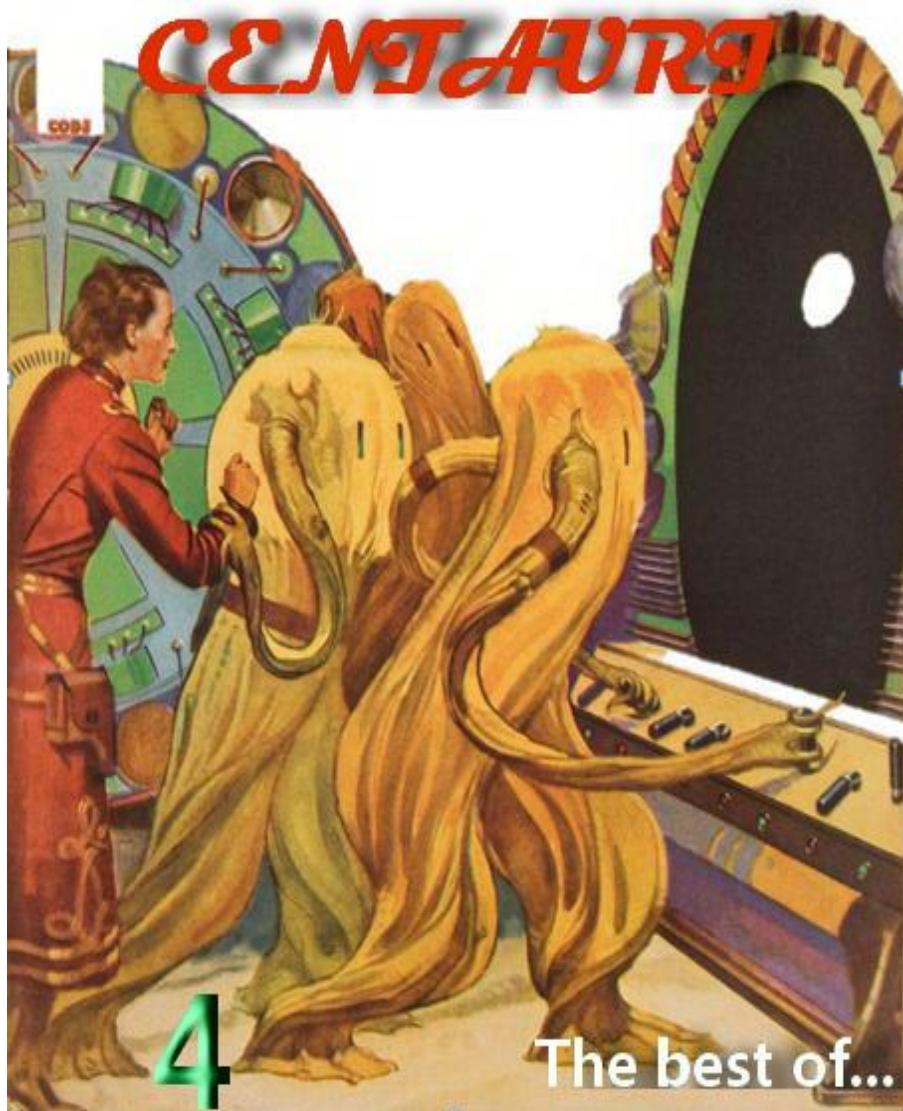


Myrray Leinster

PROKSTMA

CENTAURS

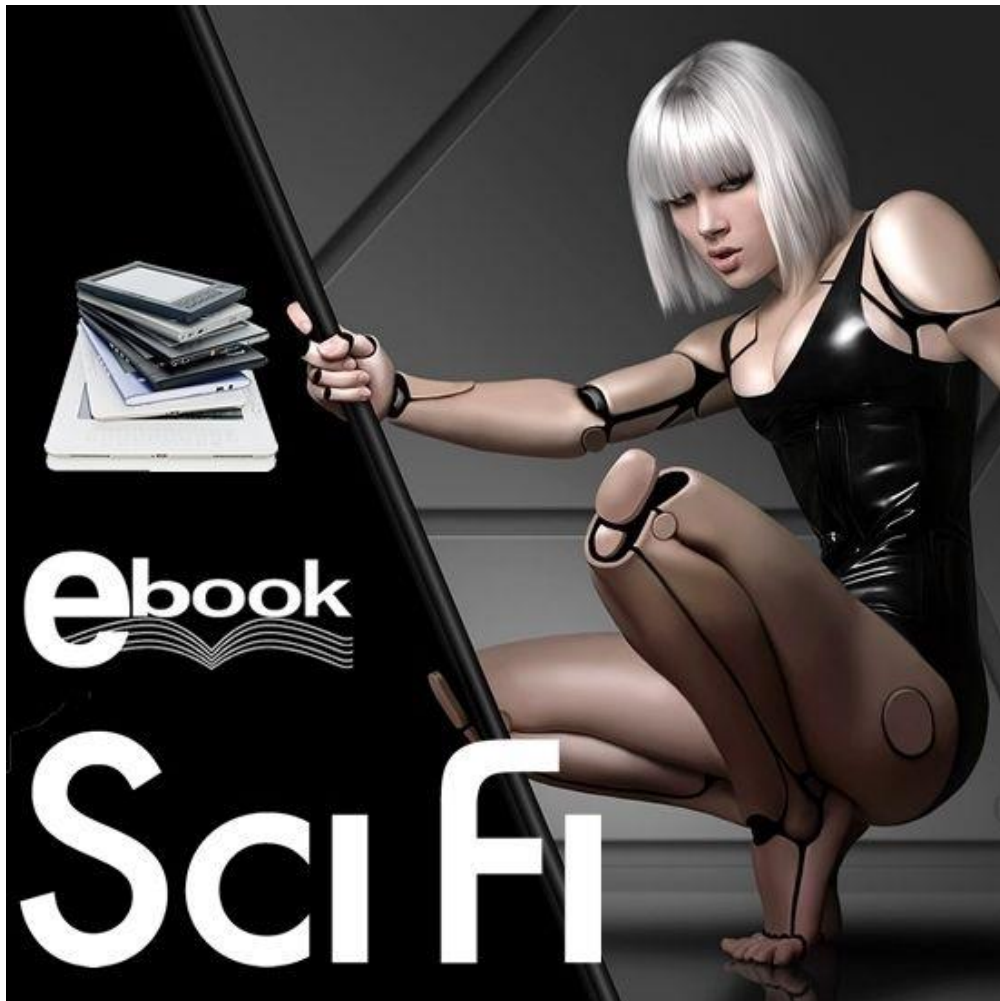


# MURRAY LEINSTER

## **PROKSIMA CENTAURI**

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz

Spis treści:  
Proksima Centauri,  
Uwaga Święty Patryk.





# Proxima Centauri

Murray Leinster

*Illustrated by Elliott Dold, Jr.*

# I

*Adastra* już lśniła, jako że od zbliżającego się Słońca dzieliła ją niewielka odległość. Obserwujące zewnętrzną powierzchnię olbrzymiego statku tarcze wizyjne przelewały na wewnętrzne monitory nikłą poświatę. Pokazywały potężne, zaokrąglone cielsko metalowego globu pokryte gąszczem dźwigarów, zbyt masywnych, by mogła je przenieść siła mniejsza od tej, którą dysponował sam statek. Pokazywały cały glob o średnicy tysiąca pięciuset metrów jako nadzwyczaj słabo świecący obiekt, najwyraźniej zawieszony nieruchomo w przestrzeni.

To ostatnie wrażenie było złudne. Choć kolosalny i z pozoru zbyt olbrzymi, by drgnąć pod działaniem jakiegokolwiek wyobrażalnej mocy, statek właśnie teraz poddawał się działaniu siły. W dwunastu punktach na jego lekko połyskującym boku znajdowały się otwory; tryskały z nich przejrzyste, purpurowe płomienie. Dawały mało światła – mniej niż gwiazda, ku której zmierzał statek – ale były to strugi wylotowe rakiet, które podniosły *Adastrę* z powierzchni Ziemi i przez siedem lat pchały ją wśród przestrzeni międzygwiazdnej ku Proximie Centauri – najbliższej macierzystemu układowi ludzkości gwiazdzie stałej.

Teraz jednak silniki nie rozpędzały statku; olbrzymi glob hamował. Wytracał szybkość – dokładnie 9,9 metra na sekundę – po to, by we wnętrzu kadłuba, gigantycznej kuli, wytworzyć efekt ziemskiej grawitacji. Hamowanie trwało już od miesięcy. Statek, który jako pierwszy miał przemierzyć przestrzeń pomiędzy dwoma systemami

słonecznymi, zwalniał i zwalniał od maksymalnej szybkości bliskiej prędkości światła; szybkość manewrową miał osiągnąć jakieś sześćdziesiąt milionów kilometrów od powierzchni gwiazdy.

Daleko, daleko w przodzie Proxima Centauri lśniła zapraszająco. Tarcze wizyjne, które ukazywały nikły odblask gwiazdy na pancerzu statku, miały swoje odpowiedniki przenoszące jej obraz do wnętrza kadłuba; na ekranie w głównej sterowni widniał on w wielokrotnym powiększeniu. Przypatrywał mu się w zamyśleniu starszy, siwobrody mężczyzna w mundurze. Powoli, tak jakby powtarzał to już wiele razy, powiedział:

– Osobliwy jest ten pierścień. Podwójny, tak jak pierścień Saturna. A Saturn ma dziewięć księżyców. Można by się zastanawiać, ile planet będzie miało to słońce.

Dziewczyna odezwała się niecierpliwie:

– Przekonamy się o tym szybko, prawda? Jesteśmy prawie na miejscu. I znamy już czas obiegu jednej z nich! Jack powiedział...

Ojciec powoli odwrócił się w jej stronę.

– Jack?

– Gary – poprawiła się dziewczyna – Jack Gary.

– Moja droga – odezwał się łagodnie starzec. – On sprawia wrażenie porządnego człowieka i ma duże zdolności, ale jest Buntem. Pamiętaj o tym!

Dziewczyna przygryzła wargi.

Starzec ciągnął, powoli i bez złości:



– To ubolewania godne, że w łonie załogi tej wyprawy dokonał się podział – w łonie wyprawy, która powinna być ekspedycją naukową, prowadzoną w duchu kruczaty. Ty nawet nie bardzo pamiętasz, jak to się zaczęło; my oficerowie, wiemy aż za dobrze, ile wysiłków czynili Buntowie, by zaprzepaścić główny cel naszej podróży. Ten Gary jest Buntem. Jest na swój sposób błyskotliwy, to prawda. Pozwoliłbym mu nawet zamieszkać w kabinie oficerskiej, ale Alstair sprawdził go i odkrył niepożądane fakty, które uczyniły to niemożliwym.

– Nie wierzę Alstairowi! – powiedziała z naciskiem dziewczyna. – A poza tym to właśnie Jack złapał te sygnały. I to właśnie on nad nimi pracuje, oficer czy Bunt! W końcu jest przecież człowiekiem. Zbliża się czas, kiedy sygnały mogą znowu nadejść, i w tej sprawie musisz się zdać na niego.

Starzec zmarszczył brwi. Starannie odmierzając kroki podszedł do fotela, i usadowił się ze swą zwykłą i raczej patetyczną ostrożnością. *Adasira* oczywiście nie wymagała tak stałego czuwania przy sterach, jak statki międzyplanetarne. Tu, w międzygwiazdnej pustce, nie było konieczności zważania na ruch innych statków, wystrzegania się meteorów, czy owych zagadkowych i ciągle niezbadanych pól siłowych, które początkowo czyniły podróże międzyplanetarne tak ryzykownymi.

W każdym bądź razie statek był tak gigantyczną konstrukcją, że mniejsze meteory nie mogłyby mu zaszkodzić. Zaś przy szybkości, z jaką się teraz poruszał, większe okruchy skalne byłyby wykryte przez wiązki

indukcyjne dostatecznie wcześniej, by je zlokalizować i w razie potrzeby zmienić kurs.

Boczne drzwi do sterowni otwarły się gwałtownie i wszedł przez nie mężczyzna. Z bystrością profesjonalisty przebiegł wzrokiem po rzędach wskaźników. Tyknął przekaźnik; na moment spojrzenie mężczyzny pobiegło ku temu punktowi. Po chwili odwrócił się i z drobiazgową precyzją zasalutował starcowi.

– Ach, Alstair – odezwał się starzec. – Ciebie też ciekawią te sygnały, co?

– Tak, panie kapitanie. Oczywiście. I jako pana zastępca wolę mieć tę sprawę na oku. Gary to Bunt i nie życzyłbym sobie, by posiadał informacje, które mógłby ukryć przed oficerami.

– To nonsens! – cisnęła z irytacją dziewczyna.

– Być może – zgodził się z nią Alstair. – Mam nadzieję, że tak. Nawet jestem tego pewien. Ale wolę nie zaniedbywać żadnych środków ostrożności.

Zaterkotał dzwonek. Alstair nacisnął przycisk i jeden z monitorów rozjaśnił się. Wyzierała zeń smągła i raczej ponura twarz młodego mężczyzny.

– Chwileczkę, Gary – powiedział Alstair szorstko. Nacisnął następny guzik. Ekran pociemniał na chwilę i znów się rozjaśnił, by pokazać długi korytarz, którym zbliżała się samotna postać. Po chwili na ekranie pokazała się ta sama beznamiętna twarz.

Alstair rzucił jeszcze ostrzej:

– Drugie drzwi są otwarte, Gary. Może pan wejść.



– Myślę, że to jest ohydne – powiedziała ze złością dziewczyna, kiedy ekran się wyłączył. – Przecież wiesz, że możesz mu ufać! Musisz! A pomimo to, za każdym razem, kiedy przychodzi do kabin oficerskich, zachowujesz się tak, jakby miał w każdej ręce bombę, a całą resztę ludzi za sobą.

Alstair wzruszył ramionami i spojrzał znacząco na starca; ten odezwał się ze znużeniem:

– Moja droga, Alstair jest drugi rangą po mnie, a w drodze powrotnej na Ziemię będzie dowódcą. Życzyłbym sobie, abyś była mniej napastliwa.

Ale dziewczyna rozmyślnie odwróciła wzrok od dziarskiej postaci Alstaira w nienagannie skrojonym mundurze, oparła brodę na splecionych dłoniach i wbiła zamyślony wzrok w przeciwległą ścianę. Alstair podszedł do tablicy przyrządów i zaczął skrupulatnie obserwować ruchy wskazówek.

Cicho szumiał wentylator. Tyknął przełącznik, zdumiewająco radośnie, jakby zadowolony z siebie. Poza tym panowała cisza.

*Adastra*, najpotężniejsze dzieło rasy ludzkiej, mknęła w przestrzeni kosmicznej; światło obcego słońca odbijało się matowo od jej olbrzymiego kadłuba. Dwanaście migotliwych, purpurowych płomieni tryskało z otworów zwróconych w kierunku lotu. Statek zwalniał, tracąc szybkość w tempie 9,9 metra na sekundę, co wytwarzało w jego wnętrzu efekt ziemskiej grawitacji.

Ziemia była o siedem lat w tyle – i o niezliczone miliony kilometrów za rufą. Podróże międzyplanetarne w

Układzie Słonecznym były obecnie rzeczą normalną, wręcz codzienną; doskonale prosperująca kolonia na Wenus i utrzymywana z dużym trudem stacja na największym księżycu Jowisza gwarantowały dynamiczny rozwój międzyplanetarnego handlu, nawet po tym, jak wymarłe miasta na Marsie przestały już dawać nadzwyczajnie bogate łupy. Ale tylko jeden statek oddalił się kiedykolwiek poza orbitę Plutona – a była nim *Adastra*.

Największy ze wszystkich statków, najbardziej kolosalna konstrukcja, na jaką kiedykolwiek poważyli się ludzie. Prawdę mówiąc, jego projekt początkowo wyszydzano jako nierealny do wykonania przez ludzi – ludzi, którzy ostatecznie jego budowę urzeczywistnili. Wręgi szkieletu *Adastry* były tak ogromne, że po odlaniu nie można ich było przenieść żadnym dźwigiem w dyspozycji budowniczych statku, dlatego też formy do ich odlania zbudowano od razu w miejscach, gdzie wręgi miały się ostatecznie znaleźć, i tam też zalano je metalem. Dysze silników raketowych były tak potężne, że drgania ultradźwiękowe, niezbędne do zneutralizowania efektu pola Caldwell'a, musiały być generowane w trzydziestu odrębnych miejscach na każdej z nich, gdyż w innym przypadku dezintegracja paliwa rozprzestrzeniałaby się na same dysze, a potem na cały wielki statek, by w końcu nawet macierzystą planetę twórców *Adastry* obrócić w błysk migotliwego, purpurowego płomienia. Przy największym przyspieszeniu zestaw dwunastu dysz dezintegrował pięć centymetrów sześciennych wody na sekundę.

Średnica statku wynosiła nieco ponad półtora kilometra. Zbiorniki powietrza zawierały zapasy wystarczające na całą podróż, bez potrzeby regeneracji czy oczyszczania atmosfery. Magazyny, warsztaty, zapasy materiałów i części były tak olbrzymie, że wyliczanie ich byłoby po prostu przytaczaniem nic nie mówiących liczb.

We wnętrzu statku znajdowało się nawet sto pięćdziesiąt hektarów ziemi uprawnej, gdzie w świetle lamp imitujących promienie słoneczne uprawiano rośliny; zużywały one odpadową materię organiczną jako nawóz i przywracały do obiegu wydychany przez ludzi dwutlenek węgla – częściowo jako tlen, częściowo jako jadalne węglowodany.

*Adastra* była światem sama w sobie. Mając dość energii mogła utrzymywać swą załogę bez końca zapewniając jej pożywienie, uzdatniając bez strat i bezawaryjnie atmosferę; we wnętrzu statku było dość miejsca dla zaspokojenia wszystkich ludzkich potrzeb, włącznie z potrzebą samotności.

Wyruszając w najbardziej zdumiewającą podróż w historii ludzkości otrzymała formalnie status świata, a jej kapitan uprawnienia do ustanawiania i egzekwowania niezbędnych praw. Kierowała się ku celowi odległemu o cztery lata świetlne; minimalny czas, po jakim można się było spodziewać jej powrotu, oceniano na czternaście lat. Żadna załoga nie mogłaby przetrwać tak długiej podróży w komplecie, toteż zaciągnano się na wyprawę nie pojedynczo, ale całymi rodzinami.

Kiedy *Adastra* uniosła się z powierzchni Ziemi, na pokładzie było pięćdziesięcioro dzieci. W pierwszym roku podróży urodziło się jeszcze dziesięcioro. Ludziom na Ziemi wydawało się, że potężny statek mógł nie tylko w nieskończoność utrzymywać przy życiu swą załogę, ale też, że owa załoga, dobrze odżywiona i posiadająca bardziej niż wystarczające środki do nauki i rozrywki, mogłaby w takim stopniu się odradzać, że czyniło to podróż trwającą tysiąc lat równie możliwą, jak ową niewielką przejażdżkę do Proximy Centauri.

Byłoby tak w istocie, gdyby nie zjawisko zarazem tak błahe i tak ludzkie, że nikt go nie przewidział. Zjawiskiem owym była nuda. Jeszcze przed upływem półrocza podróż przestała być wielką przygodą. Wyprawa na wielkim statku stała się zabójczo nudna, szczególnie dla kobiet.

*Adastra* upodobniła się do gigantycznego mrówkowca, w którym nie było gazet, sklepów, nowych filmów, nowych twarzy, czy nawet odprężających niedogodności wywoływanych zmienną pogodą. Obłądna dokładność wszystkich przygotowań do podróży pozbawiła samą podróż jakiegokolwiek urozmaicenia. A to oznaczało nudę.

Nuda zaś oznaczała niepokoje. A niepokoje, gdy na pokładzie są kobiety, kobiety, którym marzyły się niesłychane przygody, oznaczały piekielne kłopoty. Mężowie nie jawili się im już jako świetni bohaterowie; byli zwykłymi ludźmi. Mężczyzn spotykały podobne rozczarowania. Pozwy rozwodowe zalały biurko kapitana – on to bowiem był podmiotem wszystkich czynności

prawnych. W ósmym miesiącu zdarzyło się jedno morderstwo; w ciągu następnych trzech miesięcy dwa następne.

Po półtora roku od Ziemi załoga była na krawędzi buntu. Gdy minęły dwa lata, kabiny oficerów oddzielono od większej części *Adastry*, załogę rozbrojono, a każda praca, jakiej wykonania żądano od buntowników, była egzekwowana przez oficerów pod groźbą użycia broni. Po trzech latach załoga domagała się powrotu na Ziemię. Ale w tym samym czasie, w jakim *Adastra* mogłaby wytracić swą podówczas niesamowicie wielką prędkość i zatrzymać się, znalazła się już tak blisko pierwotnego celu wyprawy, że nie sprawiłoby to znaczącej różnicy w łącznym czasie podróży. Zatem przez resztę czasu członkowie załogi dokładali starań, by ulżyć sobie w dojmującej monotonii wszelkimi zastępczymi zajęciami i rozrywkami, jakie tylko można było zaimprovizować przy faktycznym braku zapotrzebowania na autentyczną pracę.

Mieszkańcy kabin oficerskich określali swych podwładnych terminem, który stał się zwyczajowym mianem dla innych niż oficerowie członków załogi – skrótem od słowa „buntownicy“. Wśród załogi zapanował klimat niechęci do jakichkolwiek stosunków z oficerami. Ale wbrew temu, co twierdził Alstair, nie było już realnego zagrożenia buntem. Wprawdzie bardzo późno, ale wytworzyło się pomiędzy stronami coś na kształt równowagi duchowej.

Większa część załogi wykształciła sobie w miejsce psychiki szarpanych nerwami lokatorów odizolowanego

od reszty świata wieżowca, psychikę mieszkańców odizolowanej wioski. A różnica była zasadnicza. W szczególności dzieci, które osiągnęły dojrzałość w czasie podróży, były dobrze przystosowane do warunków izolacji i monotonii.

Jack Gary był jednym z nich. Kiedy podróż się rozpoczęła, miał szesnaście lat. Był synem inżyniera raketowego; w drugim roku podróży jego ojciec zmarł. Innym przypadkiem tego typu była Helen Bradley. Kiedy jej ojciec – jako projektant i oficer dowodzący potężnym globem – nacisnął guzik, który uruchomił olbrzymie rakiety, miała lat czternaście.

Już w chwili rozpoczęcia podróży jej ojciec był w wieku bardziej niż dojrzałym. Postarzały przez odpowiedzialność trwającą nieprzerwanie przez siedem lat był teraz starcem i wiedział – a wiedziała to i Helen, choć nie mogła się z tym pogodzić – że nie zdoła przeżyć długiej podróży powrotnej. Jego miejsce miał zająć Alstair, dziedzicząc zarazem związany z pozycją dowódcy despotyczny autorytet. A Alstair chciał poślubić Helen.

Wsparłszy brodę na dłoni rozmyślała o tym wszystkim teraz, w sterowni.

Panowała cisza; słyhać było tylko poświst wentylatora i od czasu do czasu radosne tykanie przekaźników sterujących automatami, które czuwały, by na świecie imieniem *Adastra* nigdy nie wydarzyło się nic złego.

Pukanie do drzwi. Kapitan otworzył nieco szerzej oczy. Był już bardzo stary: przed chwilą właśnie zapadł w drzemkę.

– Wejść! – rzucił krótko Alstair.

Jack Gary wszedł. Zasalutował, zwracając się wyraźnie w stronę kapitana. Było to zgodne z regulaminem, ale Alstair cisnął mu wściekle spojrzenie.

– Ach, to pan, Gary – odezwał się kapitan. – Zdaje się, że zbliża się czas, kiedy spodziewamy się odebrać następne sygnały, prawda?

– Tak jest, panie kapitanie.

Jack Gary był bardzo spokojny, bardzo rzeczowy. Tylko raz, kiedy zerknął przelotnie na Helen, zdradził coś poza rzeczową postawą człowieka pochłoniętego pracą. W nieskończenie małym ułamku sekundy jego wzrok coś jej powiedział; coś, co odmieniło wyraz jej twarzy tak, że aż pojaśniała z zadowolenia.

Choć owo spojrzenie było krótkie, Alstair je dostrzegł. Odezwał się szorstko:

– Czy zrobił pan jakieś postępy w rozszyfrowywaniu sygnałów, Gary?

Spoglądając na zapiski w notatniku Jack ustawił skalę odbiornika trans-falowego. Nie przerywając dostrajania aparatury do wzorca odbieranych sygnałów odparł:

– Nie, proszę pana. Na początku powtarza się ciągle ta sama sekwencja sygnałów, która musi być rodzajem znaku wywoławczego, ponieważ część tej samej



sekwencji używana jest jako sygnatura na końcu audycji. Za pozwoleniem kapitana użyłem pierwszej części tego bloku sygnałów jako znaku wywoławczego w naszych audycjach wysyłanych w odpowiedzi na tamte. Ale przeglądając zarejestrowane audycje znalazłem coś, co wygląda na ważne.

– Cóż to takiego, Gary? – zapytał łagodnie kapitan.

– Już od kilku miesięcy wysyłamy sygnały przed siebie, wąską wiązką. Był to pański pomysł, by wysyłać sygnały naprzód, tak by w przypadku istnienia jakichś cywilizowanych mieszkańców na planetach krążących wokół słońcu, ku któremu zmierzamy, odnieśli oni wrażenie, że nasza misja jest pokojowa.

– Tak jest – potwierdził kapitan. – Byłoby tragedią, gdyby pierwszy kontakt międzygwiazdny nie był przyjazny,

– Od prawie trzech miesięcy odbieramy odpowiedzi na nasze sygnały. Zawsze w odstępach nieco ponad trzydziestu godzin. Założyliśmy oczywiście, że wysyła je stacjonarny nadajnik i że działa on raz dziennie, kiedy znajduje się w pozycji najbardziej dogodnej do połączenia z nami.

– Oczywiście – powiedział miękko kapitan. – Ujawniło to nam okres obrotu planety, z której nadchodzą sygnały.

Jack Gary nastawił ostatnią skalę i przekręcił wyłącznik. W głośniku pojawił się na chwilę narastający szum, ale zaraz umilkł. Jack raz jeszcze skontrolował wzrokiem wskaźniki.

– Porównywałem nagrania, panie kapitanie, biorąc poprawkę na nasze zbliżanie się do źródła emisji. Ponieważ bardzo gwałtownie zmniejszamy odległość pomiędzy nami a gwiazdą, nasze dzisiejsze sygnały potrzebują kilka sekund mniej, by do niej dotrzeć, niż te wczorajsze. Ich sygnały powinny wykazywać to samo skrócenie przerwy pomiędzy transmisjami – jeśli w istocie wysyłane są każdego dnia w tym samym momencie, według czasu planetarnego.

Kapitan przytaknął dobrotliwie.

– Początkowo tak właśnie było – ciągnął Jack. – Ale około trzech tygodni temu długość odstępu między transmisjami uległa całkowitej zmianie. Dotyczy to siły sygnału, a także trochę kształtu fali, tak jakby wysyłał ją inny nadajnik. Poza tym pierwszego dnia po owych zmianach sygnał dotarł do nas o jedną sekundę szybciej, niż by to wynikało z naszej prędkości zbliżania się do gwiazdy. Drugiego dnia sygnały nadeszły o trzy sekundy wcześniej, trzeciego dnia o sześć sekund, czwartego o dziesięć... i tak dalej. Sygnały nadchodziły z wyprzedzeniami powiększającymi się liniowo, jeszcze około tygodnia temu. Później wielkość przyspieszeń zaczęła znowu maleć.

– To nonsens! – rzucił szorstko Alstair.

– Tak jest nagrane – odpalił rezolutnie Jack.

– Ale jak by pan to wytłumaczył, Gary? – zapytał łagodnie kapitan.

– Nadają teraz ze statku kosmicznego – odparł zwięźle Jack. – Zbliża się on do nas z przyspieszeniem czterokrotnie większym od naszego.

I wysyłają sygnały w takim samym jak przedtem odstępie – według ich zegarów.

Zapadła cisza. Helen Bradley uśmiechnęła się ciepło. Kapitan zamyślił się w skupieniu. W końcu przyznał:

– Bardzo dobrze, Gary. To brzmi przekonująco. Co dalej?

– A więc, panie kapitanie – podjął Jack – ponieważ kierunek przesunięcia w czasie nadchodzących sygnałów zmienił się na przeciwny tydzień temu, wygląda na to, że tamten statek kosmiczny rozpoczął hamowanie Oto moje obliczenia, panie kapitanie. Jeżeli sygnały wysyłane są w takim samym odstępie, jaki utrzymywał się przez pewien czas na początku, oznacza to, że zmierza ku nam statek kosmiczny, hamujący, by zatrzymać się i zmienić kurs; jego kurs i szybkość zrównają się z naszymi za cztery dni i osiemnaście godzin. Myślą, że nas zaskoczą tym spotkaniem.

Twarz kapitana rozpromieniła się.

– Znakomicie, Gary! Muszą być rzeczywiście wysoko rozwiniętą cywilizacją! Co za spotkanie! Dwa ludy oddzielone odległością czterech lat świetlnych! Jakich cudów się nauczymy! I pomyśleć, że wysłali statek daleko poza własny system, by nas spotkać i powitać!

Powaga nie zniknęła z twarzy Jacka.

– Mam nadzieję, że tak, panie kapitanie – rzekł oschle.

– I co dalej, Gary? – zapytał ze złością Alstair.

– A więc – podjął z namysłem Jack – oni wciąż udają, że wysyłają sygnały ze swojej planety – nadają w takich samych, jak sądzą, odstępach. Gdyby chcieli, mogliby prowadzić wymianę sygnałów przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i rozpocząć pracę nad uzgodnieniem kodu dla wymiany informacji. Zamiast tego próbują wprowadzić nas w błąd. Zgaduję, że w najlepszym przypadku przybywają przygotowani do walki. I jeśli mam rację, ich sygnały rozpoczną się za trzy sekundy.

Przerwał i wbił wzrok we wskaźniki odbiornika. Z aparatu wysuwała się taśma rejestrująca sygnały w miarę ich napływania i druga zapisująca głębokość modulacji. Obie wychodzące z aparatu wstęgi były czyste.

Ale nagle – dokładnie po trzech sekundach – pisaki drgnęły, i na wypluwanych przez maszynę wstęgach papieru pojawiły się cieniutkie białe linie. Z głośnika popłynęły dźwięki.

Był to przemawiający głos – przynajmniej to było oczywiste. Chrapliwy, a zarazem syczący, bardziej niż cokolwiek innego przypominał cykanie owada. Ale dźwięki, z jakich się składał, były modulowane w sposób, w jaki żaden owad nie mógłby modulować swego zawołania. Uformowane wyraźnie na kształt siów, be/, spółgłosek i samogłosek, ale obdarzone wyrazem i różniące się rodzajem i natężeniem dźwięku.

Trzej mężczyźni w sterowni słyszeli już przedtem te słowa i to wielokrotnie, podobnie jak i dziewczyna. Ale teraz właśnie po raz pierwszy słowa owe wywarły na niej wrażenie groźby, złorzeczenia, tajonej żądy zniszczenia; słuchając poczuła, że krew lodowacieje jej w żyłach.

## II

Statek mknął w Kosmosie; dysze jego silników słały w przód cienkie, i na pozór niewspółmiernie nikłe, w stosunku do ogromu *Adastry*, purpurowe płomienie, które nie wydzielały ani dymu, ani gazów, i zdawały się tylko małymi niczym ogniki bagienne płomykami, w niewytłumaczalny sposób gorejącymi w próżni.

W wyglądzie zewnętrznym nie zaszły żadne zmiany – w każdym razie żadne godne wzmianki, i to na przestrzeni wielu lat. Co jakiś czas ludzie wynurzali się ze śluzy i posuwali się po powierzchni statku, pławiąc stal pod swymi stopami i samych siebie w ogniu buchającym z emiterów termicznych, bo inaczej zimno pancerza zewnętrznego przeniknęłoby przez materiał ich skafandrów zabijając ludzi niczym mrówki na rozżarzonej blasze. Od dawna nie zaistniała potrzeba takiej ekspedycji.

Dopiero teraz, w odległym, słabiutkim świetle Proximy Centauri, z maleńkiej śluzy wychynął człowiek w skafandrze kosmicznym i natychmiast oderwał się od statku na całą długość cienkiej jak pajęczyna liny asekuracyjnej. Stałe przyspieszenie statku powodowało sztuczną grawitację nie tylko we wnętrzu globu. Cokolwiek brało udział w ruchu *Adastry*, podlegało temu

samemu oddziaływaniu. Człowiek na przedniej, hamującej powierzchni statku został odrzucony w przestrzeń momentem swej własnej masy przez tę samą siłę, która we wnętrzu pojazdu kosmicznego dociskała jego stopy do podłóg.

Przyciągnął się z powrotem, wkładając w to sporo wysiłku; poruszał się niezgrabnie, co podkreślała jeszcze obłość wyдутego skafandra. Uczepił się uchwytu i na czas pracy wiertarką przypiął się do niego karabińczykiem. Jeszcze niezgrabniej przemieścił się na inne miejsce, i znowu zaczął wiercić. Potem trzeci, czwarty i piąty raz. Później na stalowej powierzchni, która sprawiała wrażenie, że jest zawsze nad nim, przez pół godziny lub nawet dłużej mozolił się nad wystawieniem skomplikowanej płataniny stelaży i drutów. Pod koniec sprawiał wrażenie zadowolonego. Przyciągnął się z powrotem do śluz i wspiął się do środka. *Adastra* pędziła naprzód, zupełnie nie zmieniona poza małą, wypukłą konstrukcją z drutu o średnicy około dziesięciu metrów, która najbardziej przypominała mikroskopijne zasieki z drutu kolczastego.

Kiedy już wewnątrz statku Jack wychodził ze skafandra próżniowego, powitała go gorąco Helen Bradley.

– To było przerażające! – powiedziała. – Tak patrzeć na ciebie, wiszącego na tej pajęczynie, z milionami kilometrów kosmicznej pustki pod stopami!

– Gdyby lina pękła, twój ojciec zawróciłby statek, i dogoniłby mnie – odparł cicho Jack. – Chodźmy włączyć induktor, by sprawdzić, jak działa nowa antena odbiorcza.

Odwiesił skafander na miejsce. Kiedy wychodzili ze śluzы ich dłonie przypadkowo się spotkały. Zawahali się spojrzawszy na siebie. Przystanęli; oczy Helen lśniły. Bezwiednie zbliżyli się ku sobie; ramiona Jacka podniosły się niecierpliwie...

W pobliżu zabrzmiały kroki. Zza rogu wyszedł Alstair, zastępcą dowódcy statku – i stanął jak wryty.

– Co to ma znaczyć?! – zapytał wściekle. – To, że kapitan wpuścił cię do oficerskiej części statku, nie znaczy wcale, że wolno ci tu wprowadzać styl romansowania Buntów!

– Jak śmiesz! – krzyknęła Helen z furją.

Ognisty, matowy rumieniec na twarzy rozwścieczonego Jacka szybko ustępował miejsca błądoci.

– Odwołaj to – powiedział bardzo, bardzo cicho. – Odwołaj to, albo pokażę ci styl walki Buntów z miotaczem pola. Jako oficer teraz jestem także uzbrojony.

Alstair warknął coś pod nosem i zwrócił się do dziewczyny:

– Twój ojciec się rozchorował – powiedział ze złością. – Przeczuwa bliski koniec podróży. Oczekiwanie podtrzymywało go na siłach przez całe miesiące, ale teraz...

Dziewczyna wybiegła z krzykiem.

Alstair zwrócił się gwałtownie do Jacka:

– Niczego nie odwołam – cisnął. – Z rozkazu dowódcy jesteś oficerem, ale jesteś też Buntem, i kiedy



zostanę dowódcą *Adastry*, długo oficerem nie pobędziesz. Ostrzegam cię! Co tu robiliście?

Jack był śmiertelnie blady, ale stopień oficera dający mu możliwość częstego widywania Helen był zbyt cenny, by go utracić poza absolutną ostatecznością. Poza tym miał pracę do wykonania. A nie mógłby jej wykonać, nie będąc oficerem.

– Montowałem kratownicę interferencyjną na powierzchni – powiedział – po to żeby namierzyć stację nadawczą wysyłającą sygnały, które odbieramy. Do pewnej odległości będzie też działać jako induktor, i w tych granicach jest znacznie dokładniejsza, niż główne induktory statku.

– To zabieraj się do swojej cholernej roboty – rzucił ostro Alstair – i jej poświęcaj więcej uwagi, a nie romansom!

Jack podłączył kabel kratownicy, którą niedawno zamontował, do odbiornika trans falowego. Pracował przez godzinę, w miarę upływu czasu coraz bardziej posępniejąc. Działo się coś bardzo złego. Induktor pokazywał dookoła *Adastry* kompletną pustkę. Początkowo kratownica interferencyjna wykazywała pozycję sporego obiektu, oddalonego nie więcej niż o dwa miliony kilometrów i nieco w bok od kursu *Adastry*. Nagle wszystkie dotyczące go wskazania znikły. Wskazówki wszystkich mierników odbiornika transfalowego ustawiły się na zerach.

– Cholera! – Jack zmełł w ustach przekleństwo.

Zmienił ustawienie na pulpicie sterowniczym, zastanowił się chwilę i rozmyślnie odstroił obwód dublujący główne induktory, a potem równocześnie przełączył częstotliwość w obu urządzeniach. Czekał z zapartym tchem przez pół minuty; tyle czasu potrzeba było falom na nowej częstotliwości, by pokonać trzy miliony kilometrów, a potem wpaść do analizatora, żeby przekazać informacje o jakimkolwiek obiekcie w przestrzeni, który mógłby je zniekształcić.

26, 27, 28 sekund... Na olbrzymim statku rozszalały się wszystkie dzwonki alarmowe. Wszystkie grodzie awaryjne na *Adastrze* zasunęły się z sykiem przemieniając każdy korytarz w służę. W sekundę później rozjarzyły się ekrany monitorów w głównej sterowni.

- Zgłasza się Sterownia Silników Raketowych!
- Zgłasza się Obsługa Systemu Powietrznego!
- Zgłasza się Siłownia!

Jack rzucił zwięźle do mikrofonu:

– Główne induktory wykryły w odległości dwóch milionów kilometrów obiekt poruszający się z dużą szybkością w naszym kierunku. Kapitan jest chory. Proszę o odnalezienie jego zastępcy Alstaira.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do sterowni wpadł z wściekłością Alstair we własnej osobie.

– Co jest, do diabła?! – wrzasnął. – Włącza pan alarm ogólny? Czy pan zwariował? Induktory...

Jack wskazał na pulpit sterowniczy głównego induktora. Wskazówki wszystkich przyrządów wciąż

pokazywały informacje o przyczynie, która wywołała brzęczy jeszcze alarm. Alstair spojrział tępo na przyrządy; kiedy patrzył, wszystkie wskazówki powróciły na pozycje zerowe.

Na twarzy Alstaira pojawiło się osłupienie; pustka, równie pozbawiona wyrazu, jak aktualne wskazania przyrządów.

– Wykryli naszą wiązkę zwiadowczą – powiedział pośpiesznie Jack – i otoczyli się jakimś rodzajem promieniowania, które ją zneutralizowało, więc nastawiłem dwie częstotliwości i równocześnie je zmieniłem, a oni nie byli w stanie przestroić neutralizatorów tak szybko, żeby nie zadziałały nasze alarmy.

Alstair stał bez słowa, walcząc z wściekłością, która jeszcze nim miotła. W końcu przytaknął szorstko:

– Ma pan rację, Gary. Dobra robota. Proszę czuwać dalej.

Powiedziawszy to, chłodno i z opanowaniem objął komendę nad potężnym statkiem kosmicznym, choć prawdę mówiąc, nie miał zbyt wiele do zrobienia. Praktycznie rzecz biorąc wszystkie możliwe przygotowania do odparcia zagrożenia zostały zakończone po pięciu minutach. Potem Alstair ponownie zwrócił się do Jacka:

– Nie lubię pana – powiedział chłodno. – Prywatnie, jako mężczyzna, szczerze pana nie znoszę. Ale jako zastępca kapitana pełniący obowiązki dowódcy statku muszę przyznać, że spisał się pan znakomicie wykrywając

chytrą sztuczkę naszych przyjaciół – próbę zbliżenia się na odległość ataku bez naszej wiedzy.

Jack nic nie odpowiedział. Zachmurzył się, ale dlatego, że myślał o Helen. *Adastra* była wielka i potężna, ale mało zwrotna. Była też nadzwyczaj masywna, jednak nie nadawała się do taranowania. Dysponowała nieomal nieskończenie wielką siłą niszczenia, a to dzięki urządzeniom do wytwarzania pola Caldwell dla dezintegracji materii, ale nie posiadała groźniejszego uzbrojenia poza dwumegawatowym działem wirowym, które miało służyć do niszczenia niebezpiecznych zwierząt czy roślin tam, gdzie mogłaby wylądować.

– Jaka jest pańska opinia? – zapytał zwięźle Alstair.  
– Jak ocenia pan sytuację?

– Zachowują się tak, jakby planowali wrogie działania – odparł rzeczowo Jack. – I mają przyspieszenie czterokrotnie większe niż my, więc nie możemy im uciec. Z takim przyspieszeniem powinni być zwrotniejsi, a więc nie da się ich wymanewrować. Nie mamy najmniejszego pojęcia, jaką bronią dysponują, ale wiemy, że nie możemy z nimi walczyć, chyba że mają jakąś bardzo prymitywną broń. Widzę tylko jedną szansę...

– Jaką?

– Próbowali zbliżyć się do nas ukradkiem. Wygląda na to, że zamierzali otworzyć ogień z zaskoczenia. Ale może też być, że się boją i planowali jedynie nam się przyjrzeć nie dając okazji do zaatakowania ich. W takim przypadku jedynym rozsądnym posunięciem z naszej strony będzie skierowanie na ich statek wiązki sygnałowej. Kiedy zorientują się, że wiemy, gdzie są, a

nie podejmujemy wrogiej akcji, nie dojdą do wniosku, że nie możemy walczyć. Mogą natomiast pomyśleć, że zamierzamy działać przyjaźnie i że zrobią lepiej nie zaczynając ze statkiem naszej wielkości, znającym ich położenie, czyli gotowym do odparcia napaści.

– Bardzo dobrze – powiedział Alstair. – Zostaje pan odkomenderowany do służby łącznościowej. Proszę zająć się kontynuacją swojego programu. Skonsultuję się z inżynierami raketowymi i zobaczę, co mogą zaimprovizować w sprawie uzbrojenia. Jest pan wolny.

Ton jego głosu był szorstki. Był także arogancki. Działał Jackowi na nerwy, wywoływał wręcz gęsią skórę. Ale Jack musiał przyznać, że Alstair nie pozwalał sobie na to, by jego osobista, szczerza antypatia działała na szkodę statku. W rzeczywistości Alstair był jednym z tych oficerów, którzy są zawsze znienawidzeni, serdecznie i przez wszystkich – dopóki nie pojawi się konkretne zagrożenie. Dopiero wtedy ujawnia się ich sprawność.

Jack poszedł do pomieszczenia, gdzie mieściły się manipulatory urządzeń łącznościowych. Przesunięcie wiązki emitowanej przez anteny nie zabrało mu wiele czasu. Nadajnik zaczął monotonicznie wysyłać nagranie ostatniej audycji *Adastry* dla odległej i jak dotąd niezidentyfikowanej planety krążącej wokół otoczonej pierścieniami gwiazdy. Kiedy w eter płynęła powtarzająca się raz za razem sekwencja sygnałów, Jack polecił operatorowi łączności przełączyć na wizję obraz obcego statku.

Mieli go teraz w wiązce skanera i przez zwiększenie jasności obrazu do granic możliwości oraz skali powiększenia do takiej wartości, że obraz stał się równie ziarnisty, jak staroświecki sztych z półtonami, udało się uzyskać na monitorze zbliżenie obcego statku w postaci miniaturki o średnicy trzydziestu centymetrów.

Kształt miał jajowaty i był doskonale gładki. Ani śladu żebrowania, wystających płetw do nawigacji w atmosferze czy kopulek łodzi ratunkowych. Nie widać było absolutnie żadnych szczegółów poza dyszami rakiet, z których sporadycznie tryskały płomienie, i małąkimi kropeczki, które mogły być iluminatorami. Ciągłe zwalniał, by zrównać się szybkością i kursem z *Adastrą*.

– Czy macie jego analizę spektroskopową? – zapytał Jack.

– Aha – odparł dyżurny obserwator. – Ale trudno w to uwierzyć. Używają rakiet na paliwo płynne – jakaś organiczna mieszanka. No i wyniki mówią, że kadłub tamtej łajby jest z celulozy, a nie z metalu. Od zewnątrz jest z drewna.

Jack wzruszył ramionami. Ani śladu broni.

Zabrał się znowu za swoją robotę. Obcy statek był bezustannie penetrowany na wskroś przez fale skanera. Jego odbiorniki nie mogły nie wykryć, że w statek wycelowana jest kierunkowa wiązka podążająca za każdym jego ruchem, z czego wynikało, że jego obecność i przypuszczalne zadania są znane na potężnym statku z dalekiej przestrzeni.

Jednak odbiorniki Jacka milczały. Taśma wysuwała się z nich bez śladów zapisu. Ale... Jack przyjrzał się dokładnie: na taśmie widniała dziwna, splątana, zamazana linia, tak, jakby analizatory odbiorników nie były w stanie pracować na częstotliwości docierającej do nich fali. Jack spojrzął na wskaźnik efektu cieplnego. Obcy statek nadawał z mocą oznaczającą, że do wnętrza *Adastry* wnika pięć tysięcy kilowatów. Ale nie była to próba łączności. Jack sposepniał; odbieraną emisję wprowadził na obwód pięciometrowy i odczytał jej częstotliwość i typ. Połączył się z główną sterownią.

– Pakują w nas fale krótkie – spokojnie zdawał relację Alstairowi. – Około pięciu megawatów na falach trzydziestocentymetrowych takiego typu, jakiego używano na Ziemi do tępienia szkodników w zbożu. Byłyby zabójcze dla życia zwierzęcego, ale oczywiście nasz kadłub po prostu je absorbuje.

Helen. Zatrzymanie *Adastry* jest niemożliwe. Wystartowali na Proximę Centauri. Choć trwało hamowanie, nie zdołali się jeszcze zbytnio zbliżyć do tamtego systemu słonecznego, a już zostali zaatakowani przez statek o przyspieszeniu czterokrotnie przewyższającym ich własne. Pompował w nich zabójcze fale – fale, używane na Ziemi do tępienia szkodliwego robactwa. Helen była...

– Może myślą, że już nie żyjemy! Dojdą do wniosku, że nasz nadajnik działa automatycznie.

Nagle włączył się głośnik pokładowego radiowężła i przemówił głosem Alstaira:



– Uwaga wszyscy oficerowie! Wrogi statek kosmiczny skierował na nas wiązkę fal, które ewidentnie uważa za śmiertelne. Zbliża się teraz do nas z maksymalnym przyspieszeniem. Rozkazuję, by pod żadnym pozorem nie używać urządzeń sterujących; nie wolno ani o włos zmienić obecnych ustawień. Nie wolno zdradzić absolutnie żadnego przejawu obecności inteligentnego życia na pokładzie *Adastry*. Macie dyżurować przy wszystkich pracujących urządzeniach, w stałej gotowości do manewru, gdyby okazało się to konieczne. Na razie spróbujmy stworzyć pozór, że *Adastra* funkcjonuje wyłącznie pod kontrolą urządzeń automatycznych. Zrozumiano?

Jack mógł sobie wyobrazić raporty z centrów dowodzenia poszczególnych wydziałów. Nagle ożył jego własny odbiornik. Rozległy się podobne do pohukiwania dźwięki sygnału wywoławczego, tak już znajome, że sprawiały wrażenie słów. A potem nadzwyczajna kakofonia dźwięków – i słowa wypowiedane ludzkim głosem. I znów pohukiwanie. A potem znowu słowa wypowiedane doskonałą angielszczyzną: głosem o barwie i akcencie oficera z *Adastry* – najwyraźniej nagrane i retransmitowane.

– Łączność! – rzucił Alstair. – Nie odpowiadać na te sygnały. To próba sprawdzenia, czy przetrwaliśmy ich atak radiacyjny.

– Zrozumiałem – powiedział Jack.

Alstair miał rację. Jack patrzył na wskaźniki i słuchał, a z odbiornika nadal płynęła bezładna paplanina.

Wtem ustała. Cisza przez dziesięć minut. I znowu to samo.

*Adastra* mknęła poprzez próżnię. Bełkot z przestrzeni kosmicznej dobiegł końca. W chwilę później ponownie włączyły się głośniki centralnego radiowęzła.

– Statek kosmiczny wroga zwiększył przyspieszenie; najwyraźniej są przekonani, że wszyscy zginęliśmy. Zbliżą się do nas za około cztery godziny. Na trzy godziny można podjąć normalne wachty, chyba że zostanie ogłoszony alarm.

Jack zapadł głębiej w fotelu i zmarszczył brwi. Zaczynał rozumieć taktykę, jaką zamierzał zastosować Alstair. Była to taktyka zła, ale zarazem jedyna, którą statek tak bezbronny jak *Adastra* mógł brać pod uwagę. Zakrawało to na ironię losu, że powitaniem, jakie otrzymała *Adastra* u kresu siedmioletniej podróży, była dawka promieniowania używanego na Ziemi do tępienia robactwa.

Ale bezskuteczność tego ataku wcale nie oznaczała, że wszystkie następne próby podobnie spełzną na niczym. *Adastra* po prostu nie mogła się zatrzymać jeszcze przez wiele milionów kilometrów. Jeśli nawet desperacki plan Alstaira mógł załatwić sprawę tego konkretnego napastnika i tej konkretnej broni, wcale nie oznaczało to – wręcz nie mogło oznaczać – że *Adastra* czy ludzie na jej pokładzie mieli choćby najmniejszą szansę, by się obronić. A była tu także Helen...

### III

Dziwny statek był teraz wyraźnie widoczny na monitorach – nawet bez powiększenia. Zatrzymał się o dziesięć kilometrów od *Adasiry*.

Idealnie jajowaty, bez żadnych wystających części oprócz dysz rufowych, zawisł nieruchomo względem statku ziemskiego, co oznaczało, że jego nawigatorzy już dawno przeanalizowali przyspieszenie hamującej *Adasiry* i precyzyjnie dopasowali do niego wszystkie parametry swojego kursu.

Helen z twarzą jeszcze mokrą od łez patrzyła, jak Jack zwiększa jasność i powiększenie obrazu. Jej ojciec załamał się bardzo nagle i dogłębnie. Odpoczywał teraz spokojnie, drzemiąc prawie bez przerwy z wyrazem błogiego zadowolenia na twarzy.

Pilotował *Adasirę* aż do chwili pierwszego kontaktu z cywilizacją innego systemu gwiazdowego. Dzieło jego życia dokonało się, a on nastawił się całkowicie na wypoczynek. Oczywiście nie zdawał sobie sprawy, że pierwszym rzeczywistym kontaktem z obcym statkiem kosmicznym było uderzenie fal krótkich o częstotliwości zabójczej dla wszelkiego życia zwierzęcego.

Statek kosmiczny na ekranie monitora powiększał się, w miarę jak Jack kręcił gałką ostatecznie przybliżając go na pozorną odległość zaledwie kilkuset metrów. Po rozjaśnieniu obrazu nawet światło gwiazd odbite od kadłuba *Adasiry* powinno wystarczyć do uwidocznienia jakichkolwiek szczegółów zewnętrznych. Ale nie było ich – dosłownie żadnych. Ani nitów, ani sworzni, ani nawet linii na złączach płyt kadłuba. Rząd iluminatorów był

ciemny i nie zdradzał żadnych przejawów życia we wnętrzu.

– I to jest drewno! – powtórzył Jack. – Statek jest zrobiony z jakiegoś rodzaju celulozy, która wytrzymuje zimno przestrzeni kosmicznej!

– Dla mnie to wygląda raczej na coś wyhodowanego, niż zbudowanego – powiedziała Helen cicho.

Jack zamrugał oczyma. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nagle odbiornik przy jego łokciu buchnął dźwiękami przypominającymi zarazem pohukiwanie i brzęczenie owada; były to sygnały z obcego statku. Potem angielskie słowa, z nagrań poprzednich audycji z *Adastry*. I znów pozbawione samogłosek, modulowane zdania w dziwnym języku. Wyglądało to zupełnie tak, jakby istoty z tamtego statku gwałtownie usiłowały nawiązać łączność i sugerowały, że posiadają klucz do sygnałów z *Adastry*. Pokusa, by odpowiedzieć, była wielka.

– W każdym razie są cwani – stwierdził posepnie Jack.

Sygnały zamilkły. Cisza. Jack spojrział na taśmę z zapisem odbieranych fal. Widniały na niej takie same jak poprzednio zamazane linie.

– Znowu krótkie. Z tej odległości powinny nie tylko nas zabić, ale nawet wysterylizować wnętrze statku. Na szczęście nasz kadłub jest z ciężkiego stopu o wysokim współczynniku histerezy. Ani jeden kwant tego promieniowania nie zdoła go przeniknąć.

Na długi, długi czas zapadła cisza. Taśma z zapisem fal wykazywała, że potężny strumień fal trzydziestocentymetrowych nadal myszkował po kadłubie *Adastry*. Nagle Jack połączył się z wachtą i zadał pytanie. Nie mylił się – zewnętrzny pancerz statku rozgrzewał się. W ciągu piętnastu minut jego temperatura wzrosła o pół stopnia.

– Nie ma się czym martwić – mruknął. – Piętnaście stopni – to wszystko, co mogą osiągnąć tą mocą.

Zapis na taśmie urwał się. Śmiercionośna – jak się obcy wydawało – emisja została przerwana. Jajowaty statek strzelił do przodu. Przez następne dwadzieścia minut Jack musiał przełączać aparaturę na coraz to inną tarczę wizyjną, by utrzymać obcą jednostkę w polu widzenia. Obcy statek polatywał nad potężnym kadłubem *Adastry* ostrożnie, ale i z natarczywą dociekliwością – a to o pół kilometra, a to o dwieście metrów; dziwny pojazd skakał to tu, to tam, ze zdumiewającym przyspieszeniem i równie zadziwiającą zdolnością do zatrzymywania się w miejscu. Dysze silników raketowych miał tylko na węższym końcu jajowatego kadłuba; każdorazowo, gdy chciał zmienić kierunek, musiał odwrócić cały kadłub, więc żyroskopy w jego wnętrzu z pewnością były niezwykle potężne. Ale i tak gwałtowność jego ruchów zapierała dech w piersiach.

– Nie chciałbym być tam w środku – powiedział Jack. – Normalne dla nich metody nawigacji z nas zrobiłyby miazgę. To nie są ludzie jak my. Mogą znacznie więcej wytrzymać.

Obcy statek sprawiał wrażenie rozumnej, wręcz żywej istoty. A przez gorliwość ruchów wydawał się jeszcze bardziej przerażający, kiedy tak myszkował dookoła gigantycznego statku kosmicznego, który tamta załoga uważała teraz za gigantyczną trumnę.

Nagle obcy statek zawrócił ostro i ruszył ku *Adastrze*. Dwieście metrów, sto metrów, dwadzieścia metrów... Miętko zatrzymał się na powierzchni ziemskiej jednostki.

– Teraz się im przyjrzymy – powiedział lakonicznie Jack. – Wylądowali tuż przy śluzie. Najwyraźniej wiedzą, co to jest. Zaraz zobaczymy ich w skafandrach próżniowych.

Helen stłumiła okrzyk. Część burty obcego statku zdawała się gwałtownie wydymać niczym pęcherz. Dotknęła powierzchni *Adastry*, wyglądało na to, że do niej przylgnęła. Powierzchnia styku powiększała się.

– Dobry Boże! – powiedział Jack bezbarwnym głosem. – Czy to jest żywe? I czy ma zamiar próbować pożreć nasz statek?

Z głośnika centralnego radiowężła padła ostra komenda:

– Uzbrojeni oficerowie mają się natychmiast udać do śluzy GH41. Centauryjczycy otwierają śluzę z zewnątrz. Oczekiwać na miejscu na dalsze rozkazy! Tarcza wizyjna w śluzie działa; będziecie informowani na bieżąco. Wykonać!

Głośnik radiowężła zamilkł. Jack porwał ciężką broń – jeden z tych miotaczy pola, które ogłuszały

człowieka na odległość do dwóch kilometrów, a z sześciu metrów, jeśli użyć całej mocy – zabijały. W kaburze u pasa miał broń krótką. Skoczył do drzwi.

– Jack! – zawołała rozpaczliwie Helen.

Pocałował ją. Ich usta spotkały się po raz pierwszy, ale wyglądało to najnaturalniej pod słońcem – że właśnie wtedy.

Rzucił się biegiem poprzez długie korytarze *Adastry*, zmierzając ku miejscu spotkania. Kiedy biegł, jego myśli wcale nie przypominały myśli naukowca i oficera pierwszej ziemskiej ekspedycji międzygwiazdnej. Myślał o ustach Helen przywierających rozpaczliwie do jego warg, o przytulonym do niego miękkim ciele dziewczyny.

Gdy tak pędził korytarzem, z góry odezwał się szept, płynący z głośników centralnego radiowęzła:

– Są wewnątrz śluzy. Otworzyli ją bez trudu. Badają teraz nasze powietrze. Najwyraźniej całkowicie im odpowiada.

Głośnik został z tyłu. Jack pędził dalej, zdyszany. Przed nim biegł ktoś inny. Sześciu, a w końcu dwunastu ludzi zgromadziło się na końcu korytarza. Z boku, od ściany, dobiegał stłumiony głos:

– ... cują nad wewnętrznymi drzwiami śluzy. Wygląda na to, że tylko czterech czy pięciu z nich wejdzie na statek. Należy im pozwolić na znaczne oddalenie się od śluzy. Macie się ukryć. Kiedy zatrzasną się grodzie awaryjne, będzie to znak dla was. Użycie ciężkich miotaczy, zwiększając moc od minimum, aż do



chwili, gdy padną sparaliżowani. Zapewne trzeba będzie sporej mocy, by ich powalić. Jeśli da się tego uniknąć, nie należy ich zabijać. Przygotować się!

W pobliżu było tuzin lub nawet więcej oficerów. Gruby szef wydziału silników rakietowych. Szczupły oficer służby wentylacyjnej. Podoficerowie z innych wydziałów. Gruby szef rakietowców sapnął głośno, pośpiesznie szukając ukrycia. Potem coś pstryknęło od strony wewnętrznych drzwi śluzy, które otworzyły się do przedsionka. Z wnętrza dobiegły stłumione pohukiwania. Istoty – czymkolwiek były – badały wiszące tam skafandry próżniowe. Początkowo dźwięki były intonowane wyraźnie i dawało się odróżnić pohukiwanie poszczególnych osobników, ale nagle buchnęła ze śluzy nieczytelna paplanina – kilka stworów zaczęło mówić równocześnie. W owych głosach brzmiało podniecenie, łapczywość i nuta nadzwyczajnego triumfu.

Wtem coś poruszyło się w drzwiach przedsionka śluzy. Jakiś cień wychynął poza próg. I oto Ziemianie ujrzeli stworzenia, które napadły na ich statek.

Przez chwilę zdawały się zupełnie przypominać ludzi. Miały dwie nogi i dwie zwisające po bokach kończyny górne – macki, które najwyraźniej służyły jako ramiona i zwięzały się płynnie aż do przejścia w smukłe, ruchliwe wyrostki. Zarówno nogi jak i macki sprawiały wrażenie giętkich na całej długości; nie miały stawów używanych przez ludzi przy chodzeniu, co sprawiało, że chód Centaury języków był przedziwnie płynny.

Jednakże najdziwniejsze było to, iż nie posiadali głów. Kołysząc się po swojemu wyszli ze śluzy, a każdy z

nich na końcu jednego z ramion miał dziwny, półcyldryczny przedmiot, który niósł tak, jakby mogła to być broń. Do tułowia mieli przyłączone metalowe pojemniki. Same tułowia były osobliwie włókniste, a w fakturze ich naskórka widniało coś przedziwnie znajomego.

Patrzący ze zdumieniem Jack szukał oczu, nozdrzy, ust. Dojrzał tylko wąskie szparki, w których odgadł oczy. Śladu czegoś w rodzaju ust w ogóle nie zauważył. Nie było też włosów. Ale na plecach jednego ze stworów, który odwrócił się, by zahukać w podnieceniu na resztę, dojrzał chropowatą, brązową substancję. Wyglądała jak kora, jak kora drzewa. Nagle Jack doznał olśnienia. Omal nie krzyknął, ale zamiast tego schylił się i po cichutku przesunął dźwignię regulującą poziom mocy miotacza od razu na maksimum.

Istoty posuwały się naprzód. Osiągnęły rozgałęzienie korytarza i po dłuższym wymachiwaniu ramionami i wydawaniu najwyraźniej artykułowanych dźwięków rozdzieliły się na dwie grupy. Znikły z pola widzenia. Ich głosy oddaliły się. Oficerowie, którzy pozostali w tyle, niecierpliwili się, że sygnał do ataku nie został jeszcze wydany. Ale z głośnika radiowęzła odezwał się szept:

– Spokojnie! Są przekonani, że wszyscy jesteśmy martwi. Znowu się rozdzielają. Może będziemy mogli zamknąć grodzie awaryjne i mieć każdego z nich osobno; wtedy zajmiemy się nimi po kolei. Wy pilnujcie służby.

Cisza. Poszum pracującego gdzieś w pobliżu wentylatora. Wtem gdzieś w oddali wrzasnął przeraźliwie

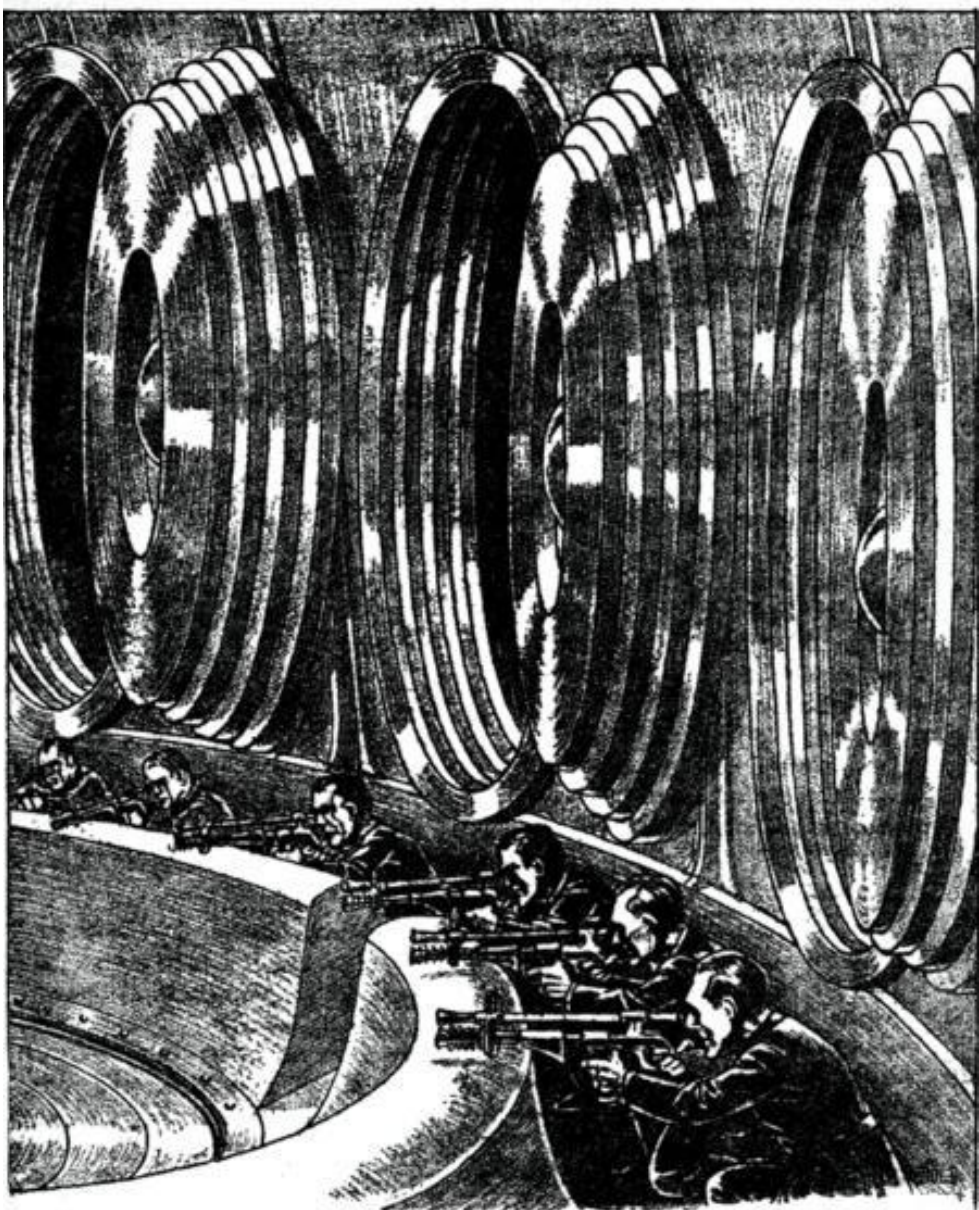
człowiek, lecz nim jego krzyk zamarł, rozległ się inny dźwięk: głos jednej z istot. Był to wysoki, piskliwy skowyt – radosny, triumfalny i niewymownie przeraźliwy.

Odpowiedziały mu inne skowyty. Rozległy się odgłosy zamieszania, jakby inne stwory zbiegały się, by dołączyć do pierwszego. I wtedy syknęło sprężone powietrze, a równocześnie zaszumiały silniki. Wszędzie zatrzasnęły się grodzie, oddzielając każdą część statku od innych. W grobowej ciszy fragmentu korytarza, w którym zostali odcięci, oficerowie trzymający straż przy śluzie nagle usłyszeli badawcze pohukiwania.

Ze śluzy wyłoniły się następne dwie istoty. Jeden z ludzi drgnął. Stwór spostrzegł go, i skierował w jego stronę półcyldryczny przedmiot. Człowiek – a był nim oficer łączności – nagle wrzasnął, i rzucił się konwulsyjnie. W tej samej chwili, w której jego mięśnie naprężyły się do rozpaczliwego skoku, był martwy jak głaz.

Istota wydała wysoki, triumfalny skowyt, taki sam, jak okropny wrzask innej, który słyszeli poprzednio, i rzuciła się łapczywie ku ciału. Jedno z długich, zwężających się ramion wystrzeliło w przód i dotknęło ręki martwego człowieka.

W tym momencie bzyknął miotacz Jacka; młody oficer usłyszał, że następny także rozpoczął ogień, a po nim i inne. W ciągu kilku sekund powietrze wypełnił dźwięk podobny do buczenia roju rozwścieczonych pszczoł. Kolejne trzy stwory wychynęły ze śluzy, ale padły w krzyżowym ogniu wiązek pola siłowego



miotaczy. Ludzie odważyli się przerwać zaporowy ogień dopiero wtedy, gdy poczuli gwałtowny ruch powietrza w stronę śluzy, co oznaczało, że na statku

wroga zrozumiano zagrożenie i obca jednostka umyka. Konieczne było pośpieszne uszczelnienie śluzy; dopiero potem mogli się zająć stworami, które wtargnęły na *Adastrę*.

Dwie godziny później Jack wszedł do głównej sterowni i zaszalutował z idealną precyzją. Twarz miał raczej bladą, a jej rysy zdradzały podniecenie i zdecydowanie, Alstair zwrócił się nachmurzony w jego stronę.

– Posłałem po pana – powiedział szorstko – ponieważ jest pan potencjalnym źródłem kłopotów. Dowódca nie żyje. Słyszał już pan o tym?

– Tak, proszę pana – odparł ponuro Jack. – Słyszałem.

– W konsekwencji ja jestem kapitanem *Adastry* – powiedział zaczepnie Alstair. – Posiadam, jak pan pamięta, prawo życia i śmierci w przypadkach zachowania buntowniczego; jest także faktem, że małżeństwo na *Adastrze* staje się legalne wyłącznie na podstawie rozkazu noszącego mój podpis.

– Zdaję sobie z tego sprawę, panie kapitanie – powiedział jeszcze bardziej posępnie Jack.

– To znakomicie – stwierdził Alstair, i dodał z naciskiem: – Ze względów dyscyplinarnych wydaję panu rozkaz zaniechania jakichkolwiek kontaktów z panną Bradley. Niewykonanie tego rozkazu potraktuję jako

bunt. Mam zamiar sam ją poślubić. Co ma pan do powiedzenia na ten temat?

Jack odpowiedział z równie silnym naciskiem:

– Nie zwrócę najmniejszej uwagi na ten rozkaz, ponieważ nie jest pan aż takim głupcem, żeby zrealizować taką groźbę. Czyżby był pan takim idiotą, by nie dostrzec, że nasze szanse na wyjście z tego są mniejsze niż jeden do pięciuset? Jeśli ma pan zamiar poślubić Helen, niech pan lepiej skupi całą uwagę na daniu jej szansy na przeżycie!

Na moment zapadła dzika cisza. Dwaj mężczyźni z furią mierzyli się wzrokiem – jeden z nich bliższy wieku średniego, drugi ciągle jeszcze będący raczej młodzieńcem. W końcu Alstair wykrzywił usta w uśmiechu nie mającym w sobie za grosz radości.

– Jako mężczyzna w stosunku do mężczyzny czuję do pana najwyższą antypatię – powiedział oschle – ale jako kapitan *Adastry* życzyłbym sobie mieć jeszcze kilku takich ludzi, jak pan. Zaliczyliśmy siedem lat na tym cholernym statku, a teraz, kiedy zdarzyło się zagrożenie, wszyscy oficerowie się tak roztrzęsieni, że nie nadają się do niczego. Będą wykonywać rozkazy, ale żaden z nich nie jest w stanie ich wydawać. Oficer łączności został zabity przez jednego z tamtych diabłów, prawda?

– Tak, panie kapitanie.

– Rozumiem. Mianuję pana oficerem łączności. Nie znoszę pańskiego widoku i nie wątpię, że pan czuje to samo do mnie, ale ma pan dobrze w głowie. Niech pan teraz zrobi z tego użytek. Co pan ostatnio robił?

– Nastawiałem dyktopisarkę, żeby opracowała słownik tego, co mówił jeden z Centaury języków; potem użyje się jej jako tłumacza działającego w obie strony.

Alstair spojrział nań na moment zaskoczony, ale potem przytaknął ze zrozumieniem. Oczywiście dyktopisarka dokonuje po prostu rozbioru słowa na poszczególne fonemy, przeprowadza analizę i wybiera kartę pasującą do wzorca. Przy normalnym trybie pracy karta uruchamia drukarkę. Jednakże zamiast zapisu poszczególnych liter karta może zawierać wydruk ekwiwalentnego słowa w innym języku, i wtedy uruchamia głośnik.

Na ziemi maszyny takie były używane dość rzadko, a to ze względu na konieczność stosowania do nich bardzo dużych banków pamięci zawierających hasła słownikowe; w pewnym zakresie jednak stosowano je do przekładów dosłownych, tak w mowie, jak i piśmie. Jack proponował, by pisać słownictwo centauryjskie wraz z angielskimi odpowiednikami, a dyktopisarka, odbierając zagadkowe pohukiwania wydawane przez obce stwory, miała wybierać karty powodując wypowiedzianie przez głośnik angielskich synonimów słów centauryjskich.

Miało to oczywiście działać i w odwrotną stronę. Z tak przygotowanym słownikiem możliwa była konwersacja, bez zwłoki potrzebnej na wprawę w rozumieniu i naśladowaniu dźwięków obcego języka.

– Doskonale! – Alstair skwitował pomysł Jacka jednym słowem. – Ale niech pan postawi do tej roboty kogoś innego. Skoro początek został zrobiony, powinno

to być dość proste. A pana potrzebuję do innej pracy. Wie pan, co ustalono o Centauryjczykach?

– Tak, panie kapitanie. Ich broń ręczna przypomina nasze miotacze, ale wygląda na znacznie skuteczniejszą. Widziałem, jak zabito nią oficera łączności.

– A coś na temat samych istot?

– Pomagałem związać jedną z nich.

– Co pan o nich myśli? Mam raport lekarza, ale on sam nie może w to uwierzyć!

– Nie dziwię mu się, panie kapitanie – powiedział pośpiesznie Jack. – Zupełnie nie pasują do naszych wyobrażeń o istotach inteligentnych. Nie dysponujemy nawet odpowiednim pojęciem na określenie, czym oni właściwie są. Z jednej strony są najwyraźniej roślinami. Mówiąc ściśle, ich ciała wydają się być złożone z włókien celulozowych; tak jak nasze zbudowane są z włókien mięśniowych. Ale są inteligentni, piekielnie inteligentni. Najbliższym ich odpowiednikiem na ziemi są pewne drapieżne rośliny, takie jak rosiczka i jej podobne. Ale oni stoją o tyle wyżej od rosiczki, o ile my od morskiego anemonu, który jest zwierzęciem w tym samym stopniu, co człowiek. Moim zdaniem, panie kapitanie, nie są ani zwierzętami, ani roślinami; ich ciała zbudowane są z takich samych substancji, jak ziemskie rośliny, ale potrafią się poruszać i przemieszczać, podobnie jak zwierzęta na Ziemi. Jest całkiem możliwe, że typowe formy życia zwierzęcego na ich planecie są tak samo stacjonarne, jak typowe, zakorzenione rośliny na Ziemi.



– I patrzę na nas, zwierzęta, jak my patrzymy na rośliny? – rzucił z goryczą Alstair.

– Tak, panie kapitanie – odparł spokojnie Jack. – Odżywiają się przez otwory w ramionach. Ten, który zabił oficera łączności, schwycił go za ramię. Wyglądało na to, że wydzielił przy tym jakiś płyn, który natychmiast rozpuszcza tkanki. Natychmiast wessał ten płyn z powrotem. Jeśli wolno mi zgadywać, panie kapitanie...

– Niech pan mówi dalej – rzucił Alstair. – Wszyscy inni biegają bezcelowo w kółko, albo się dziwiąc, albo umierając z przerażenia.

– Dowódca grupy, która wtargnęła na statek, miał na sobie rodzaj ozdoby – była to opaska ze skóry na jednym z ramion.

– Ale co, do diabła...

– Poległo dwóch naszych ludzi. Jednym był oficer łączności, drugim dyżurny technik. Zanim w końcu pojaliśmy Centauryjczyka, który zabił dyżurnego, ten zdążył zjeść mały kawałek jego ciała, ale reszta przeszła jakiś dziwny proces wysuszenia, od chemikaliów, jakie stwor miał przy sobie.

Grdyka Alstaira poruszała się, jakby chwytały go nudności.

– Widziałem to...

– Może to dziwny pomysł – powiedział poważnie Jack – ale gdyby człowiek był na miejscu tego Centauryjczyka, uwięziony na statku należącym do obcej rasy i spodziewając się rychłej śmierci, chyba jedyną rzeczą, którą chciałby przytroczyć do swego ciała – tak,

jak to zrobił tamten z wysuszonym, zakonserwowanym ciałem dyżurnego – byłoby...

– Byłoby złoto – rzucił Alstair. – Albo platyna czy drogie kamienie, z którymi miałby nadzieję wywalczyć sobie odwrót.

– Właśnie – potwierdził Jack. – Ale trzeba pamiętać, że ja tylko zgaduję, a tamte stworzenia nie są ludźmi, ani nawet zwierzętami. Niemniej, jedno jest pewne: jedzą mięso zwierząt. I cenią sobie pokarm pochodzenia zwierzęcego tak, jak ludzie cenią diamenty. Szczątki zwierząt – skórę – noszą jako biżuterię. Wygląda mi na to, że tkanki zwierzęce są raczej na ich planecie rzadkością, skoro są tak wysoko cenione. W konsekwencji...

Alstair wstał; po twarzy przebiegały mu zmienne uczucia.

– A więc nasze ciała są dla nich odpowiednikiem złota! Diamentów!

Gary, nie mamy cienia nadziei na zaprzyjaźnienie się z tymi diabłami!

– Zgadzam się z panem; nie ma żadnych szans – odparł Jack beznamietnie. – Gdyby na Ziemi wylądowała rasa o ciałach z metalicznego złota, zostałyby, jak sądzę, wymordowana. Ale jest jeszcze jedna sprawa: Ziemia. Znając nasz kurs, te stworzenia mogą obliczyć, skąd przybyliśmy, a ich statki kosmiczne są raczej niezłe. Myślę, że postawię do dyktopisarki kogoś innego, a sam zobaczę, czy uda mi się przesłać wiadomość do bazy. Nie mamy sposobu, by sprawdzić, czy dotrze do celu, ale

powinni oczekiwać nowin od nas właśnie w czasie, gdy dotrze do Ziemi. Może udoskonalili odbiorniki – w każdym razie planowali to zrobić.

– Ludzie mogliby stawić czoła tym bestiom w przestrzeni kosmicznej – powiedział szorstko Alstair. – Pod warunkiem, że zostaną ostrzeżeni. I może wystarczą miotacze, a jeśli nie dadzą rady, załatwią to torpedy Caldwell. Albo oddziały samobójcze, używające swych ciał jako przynęty. Gary... my rozmawiamy, jakby już było po nas!

– Myślę, panie kapitanie – odparł Jack – że już jest po nas.

Po chwili dodał:

– Postawię Helen Bradley przy dyktopisarce; dam jej strażnika do pilnowania jeńca. Centauryczyk będzie solidnie związany.

To ostatnie oświadczenie zawierało w podtekście domysł, że rozkaz dotyczący unikania Helen został anulowany. Było nawet rodzajem wyzwania, prowokującego do powtórzenia rozkazu. Oczy Alstaira zapłonęły; opanował się z trudem.

– Niech cię szlag trafi, Gary! – rzucił dziko. – Idź precz!

Odwrócił się do monitora, na którym widać było wrogi statek. Jack wyszedł ze sterowni.

Jajowaty statek znajdował się teraz w odległości dwóch tysięcy kilometrów i właśnie zwalniał. Uciekając początkowo kluczył i manewrował jak szalony. Trafienie go jakimkolwiek pociskiem byłoby niemożliwe; nawet utrzymanie na nim wąskiej wiązki promieniowania sprawiłoby nadzwyczajną trudność. Teraz, zatrzymawszy się w bezruchu względem *Adastry*, wisiał w przestrzeni obserwując i najpewniej przygotowując jakieś nowe diabelstwo. W każdym razie tak przypuszczał Alstair przyglądając mu się pośpiesznie.

Zasoby *Adastry*, sprawiające wrażenie tak przepastnych, gdy statek startował z Ziemi, teraz okazały się żałośnie skąpe, niewystarczające w tej konkretnej sytuacji, w jakiej znalazł się statek – w obliczu wrogości. Był on w stanie zasypać skarbami ludzkiej cywilizacji rasę władającą tym systemem słonecznym. Mógłby przyspieszyć rozwój dzikusów; miał coś do zaoferowania nawet rasie stojącej wyżej niż ludzkość – przyjaźń ludzi i zapal do nauki. Ale te istoty, które...

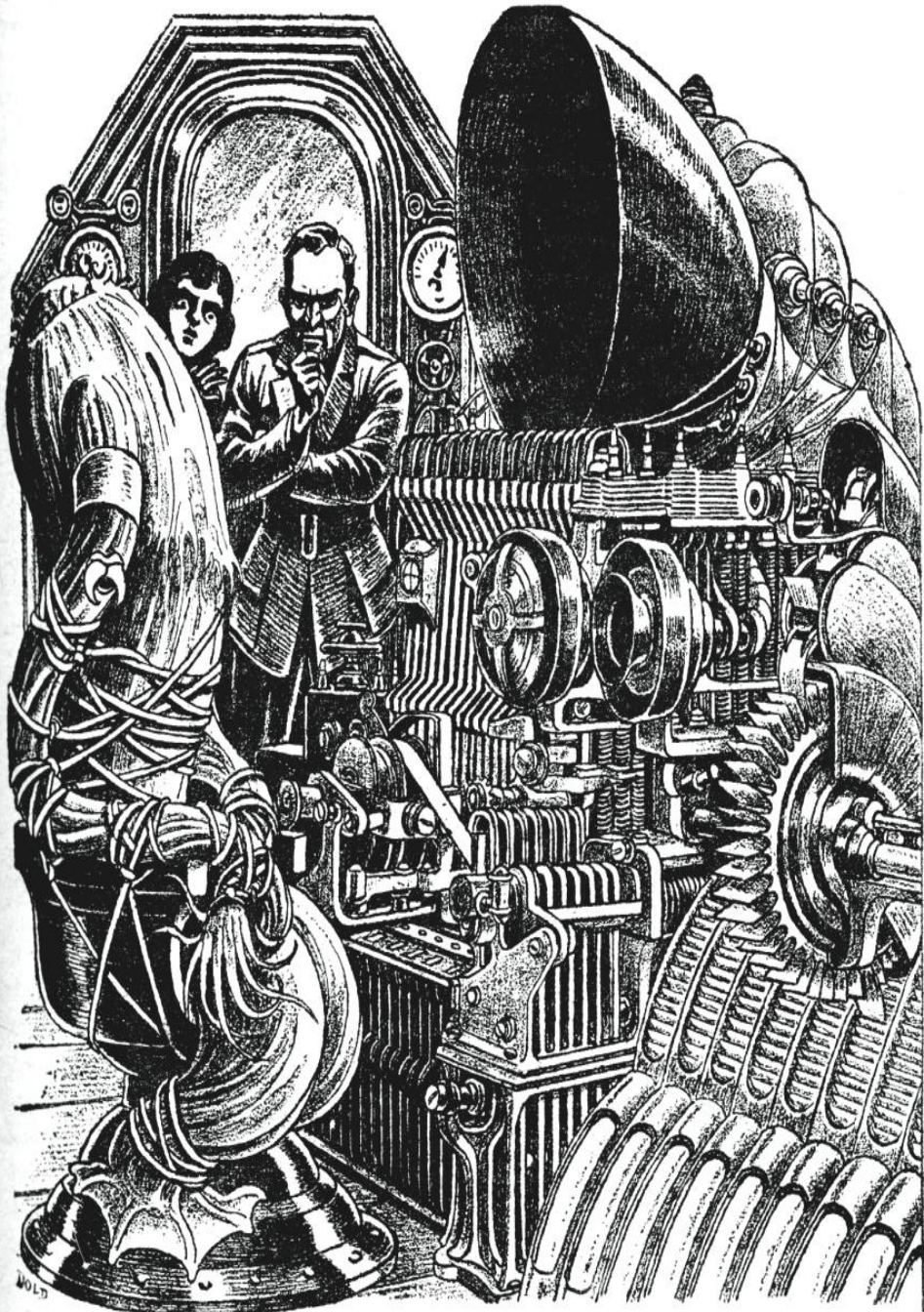
Obcy statek kosmiczny trwał w bezruchu. Prawdopodobnie wysyłał sygnały na swą macierzystą planetę domagając się rozkazów. Do głównej sterowni *Adastry* napłynęły raporty; Alstair zapoznawał się z ich treścią. Centauryjczycy bezsprzecznie przyswajali z powietrza dwutlenek węgla; związek ten był dla ich metabolizmu tym, czym tlen dla ludzi – w powietrzu pozbawionym CO<sub>2</sub> nie mogliby żyć. Ale szybkość ich metabolizmu była znacznie wyższa niż jakiegokolwiek ziemskiej rośliny; była porównywalna z szybkością przemiany materii ziemskich zwierząt. Oprócz samej budowy pod żadnym innym względem nie byli roślinami,

tak jak morski anemon nie zdradza swej zwierzęcej natury, dopóki nie sprawdzi się tego analizą chemiczną.

Centauryjczycy mieli wysoko rozwinięty system nerwowy, swoisty odpowiednik mózgu, znaczną inteligencję i bogaty język. Dźwięki wydawali dzięki podobnemu do piszczalki narządowi pomieszczonemu w specjalnym zagłębieniu ciała. I odczuwali emocje.

Pojmany stwór, kiedy pokazywano mu różne przedmioty, wykazywał szczególne zainteresowanie maszynami; szybko zrozumiał przeznaczenie małego magnetofonu, i rozmyślnie wydał w stronę mikrofonu całą serię dźwięków. Łapczywie obmacywał ludzką odzież; odrzucał tkaniny bawełniane czy z tworzyw sztucznych, wykazywał za to wielkie podniecenie dotknąwszy wełnianej koszuli, a jeszcze większe, kiedy dano mu skórzany pasek. Założył go sobie w talii bez trudu zapinając klamrę po jednym spojrzeniu na jej budowę.

Z wełnianej koszuli wypruł nić i zjadł ją, kołyszając się w przód i w tył, jakby w ekstazie. Kiedy położono przed nim mięso, zdawał się dostawać nieomal delirium z podniecenia. Część mięsa pożarł natychmiast, ekstatycznie się kołyszając. Resztę zakonserwował za pomocą zagadkowego procesu chemicznego, używając do tego substancji z małego, metalowego pojemnika który miał przy sobie, i który kazał sobie podać, wskazując nań gestami.



*It was an awesome sight. Fibrous tentacles bound, helpless, in the chair before vast intricate apparatus—waiting—*

Jego narządy wzroku znajdowały się poza dwiema

szczelinami w górnej części ciała; samych oczu nie udało się precyzyjnie zbadać. Leżący przed Alstairem raport

podkreślał jednak, że Centauryczyk wykazywał nadzwyczajne ożywienie, gdy tylko w jego polu widzenia znalazła się istota ludzka. A było to podniecenie takiego rodzaju, że nie przydawało ludziom pewności siebie.

Był to ten sam rodzaj podniecenia – tyle, że znacznie mocniejszego – które owo stworzenie przejawiało na widok wełny i skóry. Raport mówił także, iż początkowo Centauryczyk, widząc ludzi, jakby wiedziony instynktem wykonywał gesty przypominające celowanie z jakiejś broni.

Alstair przeczytał ten i inne raporty. Helen Bradley zameldowała się już po dwóch godzinach od chwili, gdy Jack postawił ją do pracy przy dykto-pisarce.

– Przepraszam, Helen – powiedział z niechęcią w głosie Alstair. – Nie powinienem był cię do tego wyznaczać. To Gary nalegał na to. Ja bym wolał dać ci spokój.

– Cieszę się, że to zrobił – powiedziała Helen stanowczo. – Ojciec umarł, to prawda, ale w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. A umarł, zanim się dowiedział, jacy są ci Centauryczycy. Praca dobrze mi zrobiła. Dałam sobie radę lepiej, niż się spodziewałam. Centauryczyk, z którym pracowałam, był dowódcą oddziału, który wtargnął na statek. Zrozumiał prawie natychmiast, do czego służy dyktopisarka, i mamy już

zarejestrowany obszerny słownik. Możesz z nim pomówić, jeśli masz ochotę.

Alstair rzucił okiem na monitor. Statek wroga nie poruszał się. Łatwe do zrozumienia, oczywiście. Odległość *A dastry* od Proximv Centauri można było już teraz mierzyć w setkach milionów kilometrów, a nie w milionach miliardów, ale używając innej nomenklatury, była to wciąż odległość rzędu lat świetlnych. Jeśli statek kosmiczny Centauryjczyków wysłał sygnały domagając się rozkazów, z pewnością wciąż jeszcze oczekiwał na odpowiedź.

Alstair wszedł ciężkim krokiem do laboratorium biologicznego, które miała w swej pieczy Helen, podobnie jak i okazy biologiczne – króliki, owce i pozornie nieprzeliczoną rzeszę małych zwierząt, rozmnażanych podczas podróży dla pozyskania żywności; planowano wypuścić je na wolność, gdyby wokół otoczonego pierścieniami słońca krążyła planeta nadająca się do kolonizacji.

Centauryjczyk był mocno przywiązany do krzesła niezliczonymi sznurami. On? Ona? Ono? Czymkolwiek był, był całkowicie bezradny. Obok krzesła stała dyktopisarka, z podłączonym do niej głośnikiem. Jeniec odezwał się, pohukując po swojemu, a maszyna przetłumaczyła dziwne dźwięki szeleszcząc pomiędzy sylabami:

– Ty... być... komendant... ten... statek? – powiedziała bezdźwięcznie maszyna.

– Jestem – odparł Alstair, a maszyna zahukała melodyjnie.



– Ta... kobieta... mężczyzna... nieżywy – powiedziała znowu bezdźwięcznie maszyna, po kolejnych dźwiękach wydanych przez żywą istotę nie będącą zwierzęciem.

– Powiedziałam mu, że mój ojciec nie żyje – wtrąciła szybko Helen.

Maszyna ciągnęła:

– Ja... kupić... wszystkie... nieżywe... ludzie... na... statek... dać... metal... złoto... wy... lubić...

Alstair zgrzytnął zębami; Helen pobladła. Usiłowała coś powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle.

– Oto są narodziny międzygwiazdnej przyjaźni, jaką mieliśmy nadzieję nawiązać – powiedział Alstair z goryczą.

Wtem odezwał się głośnik centralnego radiowęzła:

– Wzywam kapitana Alstaira! Promieniowanie z przodu! Na kilku częstotliwościach, bardzo intensywne! Najwyraźniej nadaje kilka statków, choć nie możemy rozróżnić żadnych sygnałów!

W tym momencie do laboratorium biologicznego wszedł Jack Gary. Na jego twarzy malowała się powaga. Był bardzo blady. Zasalutował z wielką precyzją.

– Nie potrzebowałem się ciężko napracować, panie kapitanie – powiedział sarkastycznie. – Poprzedni oficer łączności traktował swoje stanowisko jako coś w rodzaju wygodnej synekury. Nie odebraliśmy żadnej audycji z Ziemi przez siedem lat, a więc on żadnej się nie spodziewał. A tymczasem sygnały nadchodzą – i to już od

miesiący. Opuściły Ziemię w trzy lata po nas. Wygląda na to, że facet nazwiskiem Callaway odkrył, iż fala spolaryzowana kołowo daje wąską wiązkę, która utrzymuje swój kształt już na zawsze. Nadawali do nas bez wątplenia już od lat; teraz odbieramy jedną z pierwszych audycji. No więc zbudowano drugą *Adastrę*, i kompletują załogę... nie, do diabła! Skompletowali załogę już cztery lata temu! Zmierzają tu, gdzie my, i są już w drodze! Są już w drodze co najmniej od trzech lat, i nie mają pojęcia, że te diabły na nich czekają! Jeśli nawet sami wysadzimy statek, to i tak przybędzie z Ziemi następny, podobnie jak my, nieuzbrojony – przybędzie po to, by wpaść na tych diabłów, kiedy już będzie za późno, żeby wyhamować...

Znowu warknął centralny radiowęzeł:

– Kapitanie Alstair – melduje się wachta. Zewnętrzna temperatura podniosła się o pięć stopni przez ostatnie trzy minuty i ciągle rośnie! Coś pompuje w nas ciepło z przerażającą szybkością!

Alstair zwrócił się do Jacka i powiedział z lodowatą uprzejmością:

– Gary – w końcu to nie ma sensu, byśmy się nadal wzajemnie nienawidzili. Wszyscy tu razem zginiemy. Dlaczego ciągle mam ochotę cię zabić?

Ale pytanie było czysto retoryczne. Usłyszawszy trzykroć potworne nowiny Helen zaczęła cicho płakać. A chcąc się wyplakać, bez namysłu rzuciła się w ramiona Jacka.

## IV

W rzeczywistości sytuacja była nawet gorsza, niż się to początkowo wydawało. Na przykład temperatura zewnętrzna kadłuba, o której mówił oficer wachtowy, była wskazaniem termometru ogólnego, uśredniającego wskazania wszystkich termometrów zewnętrznych. Rzut oka na tablicę wskazań termometrów, możliwy dzięki połączeniu przez wideofon, wykazał, iż temperatura tylnej części *Adastry* była, praktycznie rzecz biorąc, normalna; rozgrzana była półkula przednia, skierowana w stronę Proximy Centauri. A ona z kolei nie była nagrzewana równomiernie: wskaźniki, przy których migotały czerwone światełka, zgrupowały się blisko siebie.

Alstair z kamiennym spokojem przypatrywał się czerwonym światełkom na monitorze.

– Dokładnie pośrodku naszego dysku, widzianego z ich pozycji – stwierdził lodowato. – To oczywiście musi być ta ilota statków kosmicznych.

– Panie kapitanie – rzekł sucho Jack Gary – statek, z którego wzięliśmy jeńców, nawiązał łączność o kilka godzin wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Z pewnością więc nie był to jeden statek z emiterem fal krótkich na pokładzie, ale cała flota, a statek zwiadowczy przodem. Właśnie ten statek doniósł im, że zastawiliśmy pułapkę na część jego załogi, a w konsekwencji oni otworzyli ogień!

Alstair rzucił ostro do mikrofonu centralnego radiowęzła:

– Ewakuować sektor G90. Ma zostać odcięty natychmiast, a mieszkańcy opuszczą go przez śluzy.

Ewakuować także przyległe sektory, pozostawiając tylko ludzi na służbie; mają oni bezzwłocznie ubrać się w skafandry próżniowe.

Wyłączył mikrofon, i dodał cicho:

– Temperatura zewnętrzna części sektora G90 wynosi teraz czterysta stopni. To temperatura ciemnoczerwonego żaru. Za pięć minut powłoka zacznie się topić. W ciągu godziny wyborują w nas dziurę na wylot.

– Panie kapitanie! – odezwał się pośpiesznie Jack. – Podkreślam, że oni zaatakowali, ponieważ statek zwiadowczy zameldował, że zastawiliśmy pułapkę na część ich załogi! Mamy cień nadziei...

– Co? – obruszył się Alstair ze złością. – Przecież nie mamy broni!

– Dyktopisarka, panie kapitanie! Teraz możemy z nimi porozmawiać!

– Znakomicie, Gary! – powiedział szorstko Alstair. – Mianuję pana ambasadorem! Do dzieła!

Obrócił się na pięcie i wypadł pośpiesznie ze sterowni. Po chwili jego głos rozległ się z głośników centralnego radiowęzła:

– Wzywam oficera raketowego! Zameldować się natychmiast przez osobisty wideofon! Tryb awaryjny!

Alstair wyłączył się, ale do Jacka to nie dotarło. Połączył się z działem radiokomunikacji; rozkazał dać pełną moc na wiązkę nadawczą i rozszerzyć jej kąt.

Rzucał polecenia jedno za drugim, a w przerwach błyskawicznie tłumaczył Helen, o co chodzi.

W lot pojęła jego pomysł. Centauryczyk w laboratorium biologicznym był oczywiście związany. Z wyglądu wąskich szparek, które stanowiły jego narządy wzroku, nie dało się wyczytać ani iskierki emocji. Lecz Helen, znając zasób słów na kartkach dyktopisarki, przemówiła stłumionym, nagłym głosem do mikrofonu urządzenia. W miejsce wypowiedzianych przez nią słów popłynęły z głośnika pohukiwania; Centauryczyk drgnął. Z kolei on się odezwał i głośnik przemówił drewnianym tonem:

– Ja... mówić... statek... planeta. Tak.

I kiedy tylko z kabiny łącznościowców dotarło potwierdzenie gotowości do wejścia na antenę, niesamowite, skrzypliwe i niepodobne do zgłosek dźwięki jego języka wypełniły laboratorium biologiczne i popłynęły w eter na rozszerzonej wiązce głównego nadajnika.

O dziesięć tysięcy kilometrów dalej wisiał w kosmicznej pustce zwiadowczy statek Centauryczyków. *Adastra* przecinała przestrzeń zmierzając ku otoczonemu pierścieniami Słońcu, które stanowiło cel najśmielszej dotąd wyprawy ludzkości. Z odległości dziesięciu tysięcy kilometrów wyglądałaby tylko na kropeczkę, ale teleskopy Centauryczyków mogły ujawnić każdy szczegół jej powierzchni. Z tysiąca kilometrów przypominałaby zapewne zabawkę, oplecioną pogmatwaną siecią elementów wzmacniających.

Ale dopiero z odległości kilku kilometrów można było w pełni zdać sobie sprawę z jej ogromu. Jej tysiąc pięćset metrów średnicy przytłaczało ogromem nawet największy z owych odległych, niewidocznych kształtów zawieszonych w pustce, składających się na wrogą flotę, która kierowała teraz na *Adastrę* śmiertcionośne promienie.

Z odległości kilku kilometrów można było dojrzeć także skutki owego promieniowania. Kadłub *Adasiry* sporządzono ze stalowego stopu; był twardy, z konieczności o wysokim współczynniku histerezy. Zmienne prądy elektryczne, indukowane w owej stali przez promieniowanie Centauryjczyków, rozgrzałyby nawet kadłub z miedzi, a kadłub ze stali stopowej robił się coraz gorętszy. Zmienił kolor; na powierzchni o długości stu metrów jarzył się lekko czerwonym światłem.

Dysza silnika w tym rejonie przestała nagle miotać purpurowe, migotliwe płomienie. Silnik wygaszono. Pozostałe zwiększyły nieco ciąg, by to nadrobić.

Ciemnoczerwony żar stali pojaśniał. Stał się karminowy. Z wolna, nieubłagane, kadłub rozgrzał się do odcienia żółtawego. W końcu przybrał kolor kanarkowy; wpadał w błękit.

Na zewnętrznym panczerzu statku kłębiły się pary tryskające z umęczonej, topiącej się powierzchni, jakby przyciągane przez odległe słońce. Wyziewy zgęstniały, oślepiały bielą; przeobraziły się w istną chmurę metalicznej pary.

Wtem ze środka oświetlonej półkuli *Adasiry* trysnęła gwałtowna erupcja. Zewnętrzny pancierz stopił

się na wylot. Powietrze z wnętrza statku wytrysnęło w próżnię porywając ze sobą ogromne ilości płynnego, parującego metalu. Rozprzestrzeniło się nadzwyczaj gwałtownie natychmiast rzednąc w przejrzystą, lekko jarzącą się mgiełkę, podobną do ogona komety.

Obrazy na monitorach we wnętrzu *Adasiry* poszarzały; gwiazdy na kursie poblądły. Ziemiński statek stracił część swej atmosfery, a ta pomknęła do przodu tworząc zawirowania.

Po chwili gazy rozpierzchły się na tak wielkiej przestrzeni, że ich gęstość stała się niewykrywalna; wciąż były jednak o tyle gęstsze od absolutnej próżni przestrzeni kosmicznej, że wypełniły cały Kosmos przed *Adastrą* rzedniejącą mgławicą.

Na krawędziach olbrzymiej wyrwy w kadłubie wielkiego statku gęsty metal wrzał i parował, a wewnętrzne grodzie zaczęły się jarzyć złowieszczą poświatą czerwono-burego żaru, który szybko przechodził w karmin i zaczynał lekko żółknąć.

W głównej sterowni Alstair obserwował to wszystko z goryczą, aż do momentu, kiedy kamery ukazujące zewnętrzny obszar sektora G90 stopiły się. Bardzo spokojnie przemówił do stojącego przed nim mikrofonu.

– Mamy mniej czasu, niż myślałem – powiedział powoli. – Będziecie musieli się pośpieszyć. Pewności wprawdzie nie ma, ale musicie pamiętać, że te diabły niechybnie podziurawią nas ze wszystkich stron i

upewnią się, że na pokładzie nie pozostało absolutnie nic żywego. Musicie coś wykombinować i to szybko, żeby wykonać zadanie, które wam wyznaczyłem.

Odpowiedział mu na poły histeryczny głos:

– Ale panie kapitanie, jeśli wyłączę wibratory akustyczne w rakietach, obrócimy się w płomień! W jednej chwili! Dezintegracja paliwa przerzuci się na dysze, i cały statek po prostu eksploduje! I to błyskawicznie!

– Ty głupcze! – warknął Alstair. – Następny statek z Ziemi jest w drodze! Niczego się nie spodziewają! I są, tak jak my, bezbronni! Te diabły potrafią wyliczyć z naszego kursu, skąd przybyliśmy! Mamy umrzeć, owszem! Nasza śmierć nie będzie lekka! Ale musimy mieć pewność, że te diabły nie wyślą kosmicznej ility przeciw Ziemi! Nie możemy dać się tak po prostu zlikwidować! Nasza śmierć nie może być daremna! Musimy obronić ludzkość!

Twarz Alstaira wrzeszczącego do wideofonu nie przypominała twarzy męczennika czy osoby dokonującej szlachetnego aktu samopoświęcenia. Była to twarz człowieka, który zastrasza swego podwładnego, i brutalnie zmusza go do posłuszeństwa

Podczas gdy jego siatek omiatała wiązka promieniowania, absorbowana i zamieniana w ciepło przez metalowy kadłub, Alstair pieklił się to na ten, to na tamten wydział. Puściła następna gródź i z gigantycznego statku trysnęła kolejna erupcja odparowanego metalu i rozżarzonych gazów. O miliony kilometrów dalej spoczywał w całkowitym bezruchu pierścień szeroko



rozrzuconych, jajowatych statków; nie dawały one żadnych znaków życia – wyglądały jak uśpione potwory. Ale to właśnie z nich wybiegały bezlitosne wiązki promieniowania, koncentrując się w jednym punkcie na kadłubie *Adastry*. Olbrzymia wyrwa rzygała spienionym metalem i skłębionymi gazami; raz po raz wypływała dające się jeszcze rozpoznać obiekty, które po wynurzeniu z kipieli rozbłyskiwały i eksplodowały.

W niezliczonych pomieszczeniach potężnego statku ludzkie istoty reagowały na nadchodzącą zagładę na tyle różnych sposobów, ile różnic pomiędzy ludźmi. Niektórzy lamentowali. Kilku członków załogi owładniętych bardziej ponurymi nastrojami sprawiało wrażenie ogarniętych szałem; przeobrazili się w maniakałnych morderców. Jeszcze inni włamali się do magazynów i metodycznie, choć w niejakiem pośpiechu, upijali się do nieprzytomności. Niektóre kobiety tuliły dzieci, szlochając nad nimi. Inne po prostu postradały zmysły.

Ale w kilku sekcjach rozwścieczony głos Alstaira utrzymywał coś na kształt dyscypliny. W warsztacie maszynowni ludzie pracowali w opętańczym pośpiechu, klnąc i robiąc błędy czyniące ich pracę bezużyteczną. Szczupły oficer służb regeneracji powietrza przemierzał wielkimi krokami teren swojego królestwa ściskając w dłoni olbrzymi klucz francuski i na każdy przejaw paniki reagował wymierzonymi w słusznym gniewie razami. Posapując ciężko szef rakiet objawił niespodziewanie prawdziwie genialny talent do miotania nieprzerwanego potoku bluźnierstw; toteż bladopurpurowe płomienie

tryskały z dysz w przestrzeń kosmiczną bez jednego mrugnięcia.

Ale scena rozgrywająca się w laboratorium biologicznym odbywała się w ciszy i intensywnym skupieniu. Związany w pień, bezkształtny i nieprzenikniony Centauryjczyk, wypełniał pomieszczenie swoją dziwną mową. Dyktopisarka cicho szeleściła beznamiętnie analizując każdy dźwięk, beznamiętnie poszukując kart słownika, które zawierały angielskie odpowiedniki pohukiwań jeńca. Od czasu do czasu pojedyncza karta pasowała i wtedy maszyna tłumaczyła pojedyncze słowo z języka centauryjskiego.

– ... statek... – długa seria dźwięków, znacznie różniących się wysokością, natężeniem i ekspresją.

– ... ludzie... – i znów długa seria dźwięków.

– ... ludzie mówić...

Centauryjczyk przerwał wydawanie pohukujących dźwięków. Po chwili wyemitował inne, powoli i starannie. Maszyna przetłumaczyła je wszystkie: jeniec starannie dobrał słowa, i użył tych, które zarejestrował, pracując z Helen.

– On rozumie, o co nam chodzi – powiedziała Helen, poblądwszy.

Maszyna przetłumaczyła:

– Wy... mówić... maszyna... mówić... do... statek.

Jack powiedział bardzo cicho do mikrofonu nadajnika:

– Jesteśmy waszymi przyjaciółmi. Mamy wiele rzeczy, których chcecie. My chcemy tylko przyjaźni. Nie zabiliśmy żadnego z was z wrogości; działaliśmy wyłącznie w samoobronie. Proponujemy wam pokój. Jeżeli nie zawrzemy pokoju, będziemy walczyć. Ale pragniemy pokoju.

Kiedy maszyna szeleściła, a z głośnika zaczęły płynąć pohukiwania, Jack odezwał się szeptem do Helen:

– To gadanie o walce, to blef. Mam nadzieję, że zadziała!

Cisza. Niewidoczne, odległe o miliony kilometrów statki kosmiczne godziły zwartymi wiązkami śmiertelnościanego promieniowania w środek tarczy *Adastry*. Co dziwne, owo promieniowanie byłoby zupełnie nieszkodliwe dla ludzkiego ciała. Przeszłoby na wskroś niezauważone.

Lecz stal pancerza *Adastry* zatrzymywała je i pochłaniała jako prądy wirowe. Te zaś obracały się w ciepło. A przez wyrwę spowodowaną owym ciepłem mały wulkan rzygał w przestrzeń kosmiczną gradziemi, wyposażeniem i samą atmosferą *Adastry*.

W laboratorium biologicznym panowała grobowa cisza. Odbiornik milczał. Minęła minuta. Druga. Trzecia. Fale radiowe niosące głos Jacka mknęły z prędkością światła, ale dotarcie do źródła promieni, które rozdzierały *Adastrę* na strzępy, zabrało im nie mniej niż dziewięćdziesiąt sekund. Tam nastąpiła zwłoka; potem

potrzeba było następnych dziewięćdziesięciu sekund dla innych fal, przebywających w każdej sekundzie trzysta tysięcy kilometrów i niosących odpowiedź.

Odbiornik zahukał jak fałszująca katarzynka. Dyktopisarka cicho zaszeleściła. Z głośnika popłynął beznamiętny głos:

– My... teraz... przyjaciele... nie walczyć... statki... przybyć... zabrać... was... na... planeta.

W tej samej chwili miniaturowy wulkan na kadłubie *A dastry* zmniejszył gwałtowność erupcji i z wolna jego stopione, wrzące krawędzie przestały parować, a po chwili ustało i wrzenie metalu; stygł stopniowo, od niebieskiej bieli parującej stali, poprzez żółty, karminowy, a w końcu brudno-czerwony kolor, by później, jeszcze wolniej, zakrzepnąć w lśniąca, nieskończenie białą metaliczną powierzchnię stali, która ostygła w pozbawionej tlenu próżni.

Jack rzucił krótko do mikrofonu połączonego z główną sterownią:

– Panie kapitanie, nawiązałem łączność z Centaury językami; przerwali ogień. Powiedzieli, że wysyłają flotę, żeby zabrać nas na swoją planetę.

– Bardzo dobrze – odparł zgorzkniały głos Alstaira.  
– Zwłaszcza, że nikt chyba nie jest w stanie wpaść na jakiś pomysł, z którego wynikłby jakiś pożytek po naszej śmierci. I co dalej?

– Myślę, że byłoby dobrze uwolnić tego Centauryjczyka – odparł Jack. – Oczywiście musimy go pilnować i obezwładnić, gdyby znowu zaczął rozrabiać.

Mam wrażenie, że takie posunięcie byłoby dyplomatyczne.

– Jest pan naszym ambasadorem – powiedział ironicznie Alstair. – Mamy teraz trochę czasu. Ale lepiej niech pan postawi kogoś innego do ambasadorskiej roboty i weźmie się znowu za wysyłanie wiadomości na Ziemię, jeśli uważa pan, że można przystosować nadajnik do takiego rodzaju emisji, jakiego będą oczekiwać.

Jego twarz znikła z ekranu monitora. Jack odwrócił się do Helen. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

– Z tym właśnie jest cholerny kłopot – powiedział. – Będą oczekiwać takich fal, jakie wysłali do nas; przy mocy, jaką dysponujemy, raczej nie da rady, żeby odebrali cokolwiek innego. Usłyszeliśmy ich transmisję od połowy i przy samym końcu opisu aparatury nadawczej nowego typu, której używają na Ziemi. Bez wątplenia ponowią tę audycję – albo nawet ponawiali ją od lat; mamy szansę ją złapać – jeśli dożyjemy. Ale nie możemy nawet zgadywać, kiedy znowu ją nadadzą. Będiesz pracować z tym stworem nad poszerzeniem słownika?

Helen obrzuciła go zatroskanym spojrzeniem. Położyła dłoń na jego ramieniu.

– Jest bardzo inteligentny – powiedziała pośpiesznie. – Wytlumaczę mu to, i dam z nim pracować komuś innemu. Ja pójdę z tobą. W końcu – możemy już nie mieć zbyt wiele czasu dla siebie.

– Zapewne około dziesięciu godzin – odparł Jack ze znużeniem.

Czekał w przygnębieniu, kiedy Helen wyjaśniała wszystko Centauryjczykowi w starannie dobranych słowach, które tłumaczyła dyktopisarka. Potem przywołała asystenta i dwóch strażników. Uwolnili bezgłowego stwora. Ten nie rzucił się na nich – przeciwnie, przejawiał niecierpliwość do kontynuowania pracy nad rozbudowaniem zasobów translatora do rozmiarów słownika, dzięki któremu mogłaby się odbywać pełna wymiana pojęć.

Jack i Helen poszli do wydziału łączności, gdzie przesłuchali zarejestrowaną dotychczas część audycji z Ziemi. Stanowiła ona nadzwyczajny galimatias. Przed czterema laty Ziemia entuzjastycznie powitała projekt wysyłania wieści do swych najśmielszych bohaterów. Impuls niematerialnej energii mógł podróżować nieustrudzenie przez niezliczone miliony miliardów kilometrów Kosmosu i dogonić odkrywców, którzy wystartowali przed trzema laty. Z tekstu wynikało, że ta audycja została wysłana w jakiś czas po pierwszej. W trakcie nadawania transmitowano ją na całą Ziemię i niewątpliwie wiele milionów ludzi doznawało dreszczy na myśl, że słuchają słów mających pokonać dystans pomiędzy dwoma słońcami.

Ale słowa nie mogły w niczym pomóc załodze *Adasiry*. Audycja była programem rozrywkowym, który zaczynał się od frywolnej piosenki śpiewanej przez popularny kwartet; dalej występował w kilku skeczach najlepiej zarabiający na Ziemi komik – jego dowcipy były

dobrze znane załodze *Adasiry* – później zaś następowały uroczyste pozdrowienia od wybitnych polityków i inne głupstwa. Krótko mówiąc, była to mieszanina szmiry i bzdury, pomyślana tak, by przysporzyć popularności występującym w niej osobom dzięki globalnej transmisji całego programu.

Załodze *Adastry* na nic się to nie przydało; kadłub statku był przedziurawiony, załodze groziła rychła śmierć, a całej rasie ludzkiej prawdopodobnie zagłada, jako konsekwencja owej międzygwiazdnej wyprawy.

Jack i Helen siedzieli w milczeniu i słuchali; ich dłonie spotkały się bezwiednie. Co dziwne, nadzwyczajna krótkość czasu, jaki im pozostał, sprawiła, że przesadne wyrażanie uczuć wydawało im się absurdalne. Słuchali niewymownie wulgarnej audycji z Ziemi, tak naprawdę wcale jej nie słysząc. Co chwila spoglądali na siebie.

W laboratorium biologicznym poszerzanie słownika postępowało szybko. Zaczęto posługiwać się obrazkami. Uwolniono drugiego Centaury języka, i dzięki jego umiejętności szkicowania, która dowiodła, że oczy ludzi-roślin działają prawie identycznie jak oczy Ziemi, uzyskano wiele definicji i synonimów angielskich słów, co znacznie poszerzyło wiedzę o centauryjskiej cywilizacji.

Gdy dokonano zestawienia zgromadzonych wiadomości, okazało się, że cywilizacja ta w zdumiewający sposób przypomina ludzką. Centauryjczycy wytwarzali konstrukcje będące bez wątpienia ich domostwami. Mieli miasta, prawa, sztukę: rysunki drugiego Centauryjczyka były tego dowodem;

posiadali też naukę. Szczególnie wysoko rozwinięta była biologia, przejmująca do pewnego stopnia rolę ziemskiej metalurgii w cywilizacji ludzkiej. Ich konstrukcje nie były budowane – hodowano je. Zamiast metali, które by formowali stosownie do potrzeb, mieli różne rodzaje protoplazmy; potrafili kontrolować szybkość i sposób jej wzrostu.

Domy, mosty, pojazdy – nawet statki kosmiczne – budowali z żywej materii, którą wprowadzili w trwały stan martwoty, kiedy osiągnęła już żądany kształt i rozmiary. Na życzenie można było wprowadzić ją z powrotem w stan aktywności, co pozwalało na tak nadzwyczajne rozwiązania, jak bąblowate połączenie, które centauryjski statek wykonał z kadłubem *Adasiry*.

Sądząc po zgromadzonych dotychczas faktach cywilizacja centauryjska była bardzo dziwna, ale możliwa do pojęcia. Nawet ludzie mogli rozwinąć się w jakiś podobny sposób, gdyby cywilizacja ziemska wyszła z innego punktu. Za to centauryjska ekonomia, kiedy ją ludzie poznali, okazała się dla nich zrozumiała, ale zarazem przerażająca.

Cywilizacja centauryjska rozwinęła się z drapieżnych roślin – tak jak ludzkość wywiodła się od drapieżnych zwierząt. Ale na jakimś wczesnym etapie rozwoju ludzkości wykształcił się kult złota, zaś żadna podobna zmiana zainteresowań nie miała miejsca na planetach Proximy Centauri. Podczas gdy ludzie rujnowali miasta, wycięli lasy, ogołocili kopalnie i bezlitośnie niszczyli wszystko – dla złota, lub innych



rzeczy, które można było na złoto wymienić – Centauryjczycy w równym stopniu pożąдали zwierząt.

Tak jak ludzie wytępilli w Ameryce bizony, by sprzedać ich mięso za złoto, tak Centauryjczycy bezlitośnie wytępilli życie zwierzęce na swej planecie. Dla Centauryje/?yków właśnie tkanki zwierzęce były odpowiednikiem złota. Już przed wiekami, po prostu z konieczności, nauczyli się tolerować pokarm roślinny. Ale utajona żądza mięsa pozostała. Wynaleźli metody konserwacji pokarmu pochodzenia zwierzęcego na czas nieograniczony. Przeczესali sieciami morza, wygarniając wszystko, aż po ostatniego, najmniejszego skorupiaka. Nawet podróży kosmicznych zapragnęli – i z czasem pragnienie to urzeczywistnili – dojrzawszy przez teleskopy roślinność na innych planetach krążących wokół ich słońca, co czyniło prawdopodobnym występowanie tam także życia zwierzęcego.

Trzy planety Proximy Centauri obdarzone były klimatem i atmosferą odpowiednią dla wszystkich form życia, ale do owych czasów już tylko na jednej, i to na najmniejszej i najbardziej odległej, ocalały jakieś pozostałości życia zwierzęcego. A nawet tam Centauryjczycy polowali gorączkowo na ostatnie i zanikające już skupiska maleńkich czworonogów, które wryły się na setki metrów pod powierzchnię skutego lodem kontynentu.

Stało się jasne, że *Adastra* to korab wyladowany po brzegi takim skarbem – w postaci istot ludzkich – jakiego żaden Centauryjczyk nie byłby nawet w stanie sobie wyobrazić. Stało się też bardziej nawet niż oczywiste, że

w wyprawę na Ziemię zostaną zaangażowane wszelkie środki i możliwości tutejszej rasy. Miliardy istot ludzkich! Biliony mniejszych zwierząt! Niezliczone stworzenia w oceanach! Cała centauryjska populacja oszaleje od gorączkowej żądzy dokonania inwazji na owe królestwo bogactw i ekstazy, ekstazy doznawanej przez każdego Centauryjczyka przy spożywaniu pradawnego pokarmu swej rasy.

## V

Jajowate, pozbawione jakichkolwiek szczegółów powierzchni statki kosmiczne, zbliżały się naraz ze wszystkich stron. Na tablicy termometrów widać było powolną, ale rytmiczną wędrówkę sygnałów alarmowych. Jedna z lampek błysnęła szaleńczo czerwienią – i zgasła. Potem następna; po niej kolejna – w miarę zajmowania pozycji przez centauryjskie statki. Każdy z alarmów był oczywiście spowodowany chwilowym udarem promieniowania w kadłub *Adasiry*.

Dwadzieścia minut po tym, jak ostatnia z wiązek potwierdziła bezsilność ziemskiej jednostki, jajowaty statek zbliżył się do *Adasiry* i z idealną precyzją zatrzymał się dziobem przed śluzą; z jego kadłuba wyrósł ogromny bąbel i przywarł do stali.

Alstair patrzył na pokazujący to ekran; twarz miał bardzo bladą, a dłonie mocno zaciśnięte. Ochrypli i pełen napięcia głos Jacka Gary'ego dobiegł poprzez interkom z laboratorium biologicznego:

– Panie kapitanie, mamy wiadomość od Centauryjczyków. Na naszym kadłubie wylądował ich statek, a jego załoga wejdzie przez śluzę. Wrogi ruch z naszej strony będzie oczywiście równoznaczny z natychmiastowym zniszczeniem *Adasiry*.

– Nie będzie oporu wobec Centauryjczyków – rzucił szorstko Alstair.

– To mój rozkaz! To byłoby samobójstwo!

– Jeśli nawet tak, panie kapitanie – dobiegł z głośnika dziki głos Jacka – to nadal sądzę, że byłby to dobry pomysł!

– Proszę zająć się swoimi sprawami, Gary! – warknął Alstair. – Jakie postępy zrobiono w łączności?

– Mamy karty słownikowe dla prawie pięciu tysięcy słów. Możemy rozmawiać na prawie każdy temat, a każdy jest nieprzyjemny. Karty przechodzą teraz przez powielacz i będą gotowe za parę minut. Druga dyktopisarka z powielonym słownikiem zostanie panu posłana, kiedy tylko karty będą gotowe.

Alstair ujrzał na monitorze bezgłowe postacie Centaury języków wynurzające się z wejścia śluzy w kadłubie *Adastry*.

– Weszli na statek! – rzucił do Jacka. – Jest pan oficerem łączności! Proszę ich powitać, i przyprowadzić tu ich dowódcę!

– Zrozumiano! – Jack potwierdził otrzymanie polecenia ponurym głosem.

Brzmiało to jak wyrok śmierci – ten rozkaz. Będący w laboratorium Jack pobał bardzo. Helen przysunęła się do niego.

Centauryjczyk, który poprzednio był jeńcem, zahukał pytająco w stronę dyktopisarki. Głośnik przemówił:

– Jaki... rozkaz?

Helen wytłumaczyła.

Ludzkość tak szybko przyzwyczaja się do rzeczy przedziwnych, że wyglądało to na rzecz nieomal naturalną, iż dziewczyna zwraca się do mikrofonu, a z głośnika płyną pohukiwania i skrzypnięcia innego niż ludzki język, rozbrzmiewające w izbie treścią jej słów.

– Ja... też... iść... oni... nie... zabić... jeszcze...

Centauryjczyk potoczył się przodem; nadzwyczaj zręcznie otworzył drzwi – wystarczyło mu tylko to, iż widział, jak je otwierano. Teraz Jack ruszył jako pierwszy. W kaburze przy boku miał ręczny miotacz, ale zdawał sobie sprawę z jego bezużyteczności. Zapewne zdążyłby zabić idącego za nim roślinoluda, ale i tak nic by to nie dało.

Stłumione pohukiwania na przedzie. Roślinolud wydał dźwięki – głośne i przeszywające. Dobiegł go odzew. Jack wkroczył w pole widzenia nowej grupy napastników. Było ich dwudziestu czy trzydziestu, każdy uzbrojony w półcylindryczny przedmiot, większy niż te, w jakie była wyposażona pierwsza grupa istot, które wtargnęły na pokład.

Na widok Jacka zapanowało podniecenie. Łapczywe drżenie podobnych do ramion macek po obu stronach bezgłowych kadłubów. Odruchowe, ukradkowe ruchy bronią. Głośne huknięcie – jakby komenda. Istoty uspokoiły się. Ale Jack drżał na całym ciele, odczuwając czystą, drapieżną żądzę, która zdawała się od nich emanować.

Jego przewodnik, niedawny jeńiec, wymienił z nowo przybyłymi serię niezrozumiałych dźwięków. I znowu szeregi roślinoludów przebiegł szmer podniecenia.

– Chodźcie – powiedział Jack oschle.

Poprowadził ich do głównej sterowni. Raz usłyszeli czyjeś monotonne zawodzenie. Jakaś kobieta załamała się w obliczu nadciągającej zguby. Paplanina pohukiwań przerwała ciszę panującą pośród niezgrabnych istot człapiących za Jackiem. Ponownie uciszył ją brzmiały autorytatywnie okrzyk.

Sterownia. Alstair wyglądał jak kamienna, marmurowa statua – poza oczyma pałającymi ognistym, niemal maniakałnym płomieniem. Monitor u jego boku pokazywał nieprzerwany potok Centauryjczyków wkraczających na statek przez drugą śluzę. Najwyraźniej były ich setki.

Pod opieką Helen dotarła dyktopisarka. Dziewczyna odruchowo krzyknęła na widok tak wielu monstrualnych stworzeń zgromadzonych na raz w sterowni.

– Nastaw dyktopisarkę – powiedział Alstair głosem tak ostrym i tak łamiącym się, że przypominał czysty lód.

Drżąc, Helen spróbowała wykonać polecenie.

– Jestem gotów do rozmów – powiedział Alstair ochryple do mikrofonu dyktopisarki.

Maszyna przetłumaczyła, cicho szeleszcząc.

Dowódca nowej grupy zahukał w odpowiedzi. Rozkaz dla wszystkich oficerów, by natychmiast stawili się do sterowni, uprzednio nastawiwszy wszelkie urządzenia na automatyczną obsługę statku. Były pewne trudności z przetłumaczeniem centauryjskiego odpowiednika pojęcia „automatyczny“. Nie było go w kartotece słów maszyny. Zajęło to chwilę czasu.

Alstair wydał rozkaz. Zimny pot wystąpił mu na czoło, ale jego nerwy były jak ze stali.

Następny rozkaz Centauryjczyków, także zrozumiany z niejaką trudnością. Duplikaty wszystkich planów technicznych, oraz wszystkie – i tu znowu zrozumienie polecenia zajęło sporo czasu – wszystkie książki dotyczące budowy statku miały zostać dostarczone do śluzy, przez którą weszły rośliny-noludy; wzorcowe egzemplarze maszyn, generatorów i broni miano złożyć w tym samym miejscu.

I znowu Alstair wydał rozkaz. Jego głos był bliski załamania, nawet słaby, ale nie załamał się jednak ani nawet nie zadrzał.

Dowódca Centauryjczyków wyhukał rozkaz, nad którym dyktopisarka biedziła się bezskutecznie, szeleszcząc na próżno. Jego podkomendni ruszyli szparko ku drzwiom; w sterowni pozostało tylko czterech, inni wyszli. Jack szybko podszedł do Alstaira. Wyszarpnął

miotacz z kabury i przycisnął go mocno do boku kapitana. Centauryjczycy nie zaprotestowali ani jednym ruchem.

– Niech cię szlag trafi! – rzucił Jack głosem nabrzmiałym wściekłością. – Pozwalasz im przejąć statek! Masz zamiar targować się o swoje życie! Nic z tego, draniu; rozwalę cię, wywalczę sobie drogę do dysz rakietowych i obrócę ten statek w błysk czystego płomienia, który zabije te diabły razem z nami!

Helen krzyknęła błyskawicznie:

– Nie! Jack! Uwierz mi!

Ponieważ stała blisko mikrofonu dyktopisarki, jej słowa zostały powtórzone jak echo w pohukiwaniach języka Centauryjczyków. A Alstair, choć rozplómienny i bliski szaleństwa, zdołał się opanować, i warknął zduszonym półgłosem:

– Ty głupcze! Te diabły mogą osiągnąć Ziemię – teraz kiedy wiedzą, że jest warta osiągnięcia! Więc nawet gdyby zabili wszystkich ludzi na statku, oprócz oficerów – a mogą to zrobić – musimy dolecieć na ich planetę i wylądować tam – tu opuścił głos do chrapliwego szeptu i prawie bezdźwięcznie wycedził:

– Jeśli sądzisz, że chcę przeżyć to, co nas czeka – strzelaj!

Jack przez chwilę stał jak ogłuszony, po czym odstąpił o krok. Zasalutował z wystudiowaną, mechaniczną precyzją.

– Proszę o wybaczenie, panie kapitanie – powiedział drżącym głosem.

– Od teraz może pan na mnie liczyć.

Jeden z oficerów *Adasiry* wkroczył chwiejnie do sterowni. Następny. I jeszcze jeden. Kolejno napłynęli do pomieszczenia. Sześciu spośród trzydziestu.

Do sterowni wszedł Centauryjczyk, sunąc owym szczególnym, płynnym krokiem swej rasy. Niecierpliwie doskoczył do dyktopisarki i coś zagadał.

– Oni... wszyscy... oficerowie? – zapytała bezdźwięcznie maszyna.

– Mój przełożony zastrzelił siebie i swoją rodzinę – wykrztusił podoficer z wydziału regeneracji powietrza. – Gromada Buntów zaatakowała dyszę rakiety, a szef rakietowców odparł ich napaść. Potem wykrwawił się na śmierć od pchnięcia nożem w szyję. Oficer magazynowy...

– Dość! – rzucił Alstair wysokim, słabym głosem; bezwiednie zmiął w dłoni kołnierz munduru, podszedł do mikrofonu i powiedział cicho:

– To są wszyscy pozostali przy życiu oficerowie. Do prowadzenia statku wystarczy.

Centauryjczyk, który miał szerokie bransolety ze skóry na obu ramionach i rodzaj pasa w talii, począpał do mikrofonu centralnego radiowężła; macki na końcu jednego z ramion ze znanstwem przestawiły wyłącznik. Stwór wydał dziwne, nieokreślone dźwięki – i rozpętało się piekło!



Z wideofonów rozmieszczonych na wszystkich ścianach sterowni buchnęły wysokie, piskliwe wrzaski. Były przerażające. Były wręcz upiorne. Były bardziej przeraźliwe niż wycie wilczej watahy depczącej po piętach oszalałemu z trwogi jeleniowi. Były to takie same dźwięki, jakie Jack słyszał, kiedy jeden z pierwszych na *Adastrze* napastników zobaczył człowieka – i natychmiast go zabił.

Od monitorów dobiegały także inne dźwięki; ludzkie wrzaski. Dały się nawet słyszeć dwie czy trzy eksplozje.

A potem zapadła cisza. Centauryjczycy w sterowni – a było ich tu pięciu – aż drżeli, wręcz dygotali. Rozpierała ich przemożna żądza krwi, nierozumna, ślepa, instynktowna, niepoahamowana żądza przekazana w toku ewolucji od jakiejś rasy drapieżnych roślin, które posiadały zdolność poruszania się, wiedzione rozpaczliwą potrzebą zdobywania pożywienia.

Centauryjczyk ze skórzanymi ozdobami znowu podszedł do dyktopisarki. Zahukał do mikrofonu.

– Chcieć... dwa... ludzie... jechać... ze... statek... uczyć... się... od... oni. Zaraz.

W sterowni rozległ się nieskończenie cichy dźwięk. To kropla zimnego potu spadła z twarzy Alstaira na podłogę.

Kapitan jakby się skurczył. Twarz miał szarą jak popiół. Zamknął oczy. Jack wodził spokojnym wzrokiem po twarzach ocalałych oficerów.

– Podejrzewam, że to będzie oznaczało wiwisekcję – powiedział szorstko. – To, że zamierzają wyprawić się na Ziemię, jest pewne. W innym przypadku, przy inteligencji, jaką posiadają, nie zgładziliby wszystkich oprócz nas – nawet dla zdobycia skarbu. Będą chcieli wypróbować na ludzkim ciele różne rodzaje broni. Łączność jest teraz bodaj najmniej przydatną sekcją, panie kapitanie. Zgłaszam się na ochotnika.

– Nie! Jack! Nie! – krzyknęła rozpaczliwie Helen.

Alstair otworzył oczy.

– Gary zgłosił się sam. Potrzebny jeszcze jeden ochotnik na wiwisekcję.

Powiedział to z zaciśniętym gardłem, głosem kogoś, kto pozostaje przy zdrowych zmysłach jedynie dzięki ogromnemu wysiłkowi.

– Oni chcą się dowiedzieć, jak zabijać ludzi. Ich trzydziestocentymetrowe fale nie działają na nas. Wiedzą, że wiązki promieniowania, które stopiły kadłub, nie zabiłyby ludzi. Ja nie mogę się zgłosić! Muszę pozostać na statku! – w jego głosie brzmiała desperacja. – Jeszcze jeden człowiek na ochotnika, do tych diabłów – na powolną śmierć!

Cisza. Wydarzenia sprzed chwili i świadomość tego, co jeszcze się odbywało w niezliczonych pomieszczeniach *Adastry*, literalnie ogłuszyły większość z sześciorga pozostałych osób. Nie byli w stanie myśleć. Doznali zaćmienia umysłowego i emocjonalnego paraliżu przez samą grozę wydarzeń rozgrywających się w ich obecności.

Wtem Helen postąpiła chwiejnie do przodu i padła w ramiona Jacka.

– Ja... też idę – szepnęła. – My... wszyscy i tak mamy umrzeć! Nie jestem tu potrzebna! I mogę... mogę umrzeć razem z Jackiem.

Alstair jęknął.

– Błagam cię!

– Chcę... iść! powtórzyła. – Nie możesz mnie powstrzymać! Chcę iść z Jackiem! „Gdzie ty Kujusie...” – tu wzruszenie zdławiło jej krtań. Wtuliła się mocniej w ramiona Jacka. Centauryjczyk ze skórzanymi ozdobami huknął niecierpliwie w stronę dyktopisarki.

– Ci... dwoje... iść.

– Poczekajcie! – zawołał Alstair zmienionym głosem.

Jak automat podszedł do swego biurka. Schwycił pióro elektryczne i drżącą ręką nakreślił coś na urzędowym blankiecie.

– Oszalałem! – jęknął słabym głosem. – Wszyscy poszaleliśmy. Wydaje mi się, że już jesteśmy martwi... i w piekle. Ale weźcie to.

Jack wcisnął blankiet rozkazowy do kieszeni. Centauryjczyk ze skórzanymi ozdobami zahukał niecierpliwie. Posuwając się dziwnym, płynnym krokiem poprowadził ich do drzwi śluzy, przez które wdarły się na statek roślinoludy. Trzykrotnie napotkali włóczące się po

statku stwory, które na ich widok wydawały ów po trzykroć okropny, mrozący krew w żyłach skowyt. Za każdym razem Centauryczyk o skórzanych dystynkcjach huknął autorytatywnie, i roślinoludy odstępowały.

Raz Jack widział też cztery potwory kołyszające się w przód i w tył nad czymś leżącym na podłodze. Szybko poderwał rękę i zasłonił dłonią oczy Helen, dopóki nie minęli tego miejsca.

Doszli do śluzy. Ich przewodnik wskazał na wejście. Dziewczyna i mężczyzna usłuchali. Schwyciły ich długie, gumowate macki; Helen jęknęła i znieruchomiała. Jack walczył zawzięcie, wykrzykując jej imię. Nagle coś huknęło go potężnie w głowę i stracił przytomność.

Odzyskał ją, mając wrażenie, że przygniata go olbrzymi ciężar. Zadrzał; gdy się poruszył, część ciężaru jakby zniknęła. Zapaliło się światło – nie takie, jakie znali ludzie na Ziemi, ale rodzaj tańczącego, pulsującego płomienia liżącego niestrudzenie wewnątrz otaczającej go szklanej kuli. W powietrzu rozchodził się nieprzyjemny zapach – jakby odór zwierzęcy. Jack usiadł. Helen leżała obok niego – najwyraźniej cała i zdrowa.

Wyglądało na to, że w pobliżu nie ma żadnego Centauryczyka. Bezradnie pogładził jej rękę. Usłyszał przerywany, pulsujący dźwięk; przy każdym pojedynczym odgłosie czuł chwilowe przyśpieszenie. Silniki raketowe, na paliwo ciekłe.

– Jesteśmy na jednym z tych cholernych statków – stwierdził chłodno. Pomacał bok, szukając miotacza. Broń zniknęła.

Helen otworzyła oczy. Rozejrzała się wokoło nie widzącym wzrokiem; w końcu jej spojrzenie spoczęło na Jacku. Zadrżała nagle i przytuliła się do niego.

– Co... co się stało?

– Musimy się przekonać – odpowiedział posępnie.

Podłoga pod ich stopami przechyliła się nagle. Instynktownie spojrzął na iluminator, którego istnienie zarejestrował podświadomie już wcześniej. Wyrzwał na zewnątrz, w dobrze znaną czerń przestrzeni kosmicznej, rozjarzoną bardzo licznymi, małąkami punkcikami światła – gwiazdami. Dostrzegł otoczone pierścieniami słońce i jasne punkty – planety.

Jeden z owych punktów był bardzo blisko; można było dostrzec tarczę planety, śniegowe czapy biegunowe i zamglone przejścia zielonkawych obszarów, które powinny być kontynentami, w nie dający się opisać słowami odcień, jaki przybiera dno oceanu, kiedy się je ogląda spoza atmosfery planety.

Cisza. Żadnych pohukiwań w owym dziwnym, używanym przez Centauryjczyków języku bez spółgłosek i samogłosek. Przez chwilę nie było słycać żadnych absolutnie dźwięków.

– Przypuszczam, że lecimy na tę planetę – powiedział cicho Jack. – Musimy się zorientować, czy uda się nam popełnić samobójstwo, zanim wylądujemy.

W tym momencie usłyszeli jakiś dźwięk dochodzący z niewielkiej odległości. Był to dziwny, stłumiony pomruk, w żaden sposób nie przypominający niesamowitych dźwięków języka roślinoludów. Jack

wyrzwał ostrożnie z komory, w której się przebudzili; Helen przywarła do jego boku. Cisza

– poza owym odległym pomrukiem. Nigdzie żadnego ruchu. Ponownie słabo słyszalna czkawka silników raketowych, z wyraźnym przyspieszeniem całego statku. Zwierzęcy odór przybrał na sile. Przeszli przez otwór o dziwnym kształcie... i wtem Helen krzyknęła:

– Zwierzęta!

Jedne na drugich, stłoczone w nieładzie, stały tam klatki z *Adasty* – małe pojemniki, mieszczące okazy wszystkich zwierząt hodowanych dla mięsa i w zamiarze wypuszczenia na wolność, gdyby dookoła Proximy Centauri krążyła planeta nadająca się do kolonizacji. Nieco dalej piętrzyła się trudna do opisanego sarta księżek, maszyn, najrozmaitszych skrzynek i pojemników, które dowódca roślinoludów kazał dostarczyć do służby. I wciąż ani śladu Centauryjczyków.

Ale oto z położonego jeszcze dalej miejsca dobiegł stłumiony odgłos, do złudzenia przypominający ludzką mowę. Kiedy Jack ruszył naprzód, nadal ostrożnie, w stronę źródła owych dźwięków, Helen, teraz już mocno zaintrygowana, podążyła za nim.

Znaleźli to miejsce. Głos dobywał się z urządzenia pomieszczonego w obudowie z tego samego matowego, burego materiału, z którego były sporządzone podłogi,

ściany i wszystkie inne części w otaczającym ich wnętrzu statku.

Był to rzeczywiście ludzki głos. Co więcej, był to głos Alstaira – umęczony, chrapliwy, na poły histeryczny.

– ... musieliście już, cholera, do tej pory odzyskać przytomność, a te diabły domagają się jakiegś tego oznaki! Zmniejszyli wasze przyspieszenie, kiedy im powiedziałem, że to, które utrzymywali, nie pozwoli wam odzyskać przytomności! Gary! Helen! Wyślijcie ten sygnał!

Przerwa. I znowu głos:

– Powiem wam to jeszcze raz. Jesteście na statku kosmicznym, którym te diabły kierują za pomocą skupionej wiązki fal działającej na urządzenia sterujące. Zostaniecie osadzeni na jednej z planet, która kiedyś posiadała życie zwierzęce. Teraz jest wolna – pusta, jeśli nie liczyć roślin. A wy oraz ładunek statku – zwierzęta, książki i cała reszta – jesteście prywatną własnością najwyższego rangą arcydiabła tych wszystkich szatanów. Wysłał was zdalnie kierowanym statkiem, bo żadnemu ze swoich pobratymców nie mógł zaufać w przypadku takiego skarbu jak wy i te zwierzęta!

Jesteście skarbnicą wiedzy; macie przetłumaczyć nasze książki, wyjaśnić naszą naukę i tak dalej. Na waszej planecie zabronione jest lądowanie jakichkolwiek statków oprócz jego własnych. Wyślecie w końcu ten sygnał czy nie? Trzeba pociągnąć za rączkę, która jest dokładnie ponad głośnikiem, skąd dochodzi mój głos. Pociągnijcie za nią trzy razy, a oni będą wiedzieli, że czujecie się dobrze, i nie wyślą za wami następnego statku ze

środkami do zakonserwowania waszych ciał, by nie dopuścić do zmarnowania takiego bezcennego skarbu!

Z głośnika dobył się metalicznie brzmiący, histeryczny śmiech; centauryjskie odbiorniki nie były przystosowane do odtwarzania skomplikowanej fonetyki ludzkiego języka.

Jack sięgnął i pociągnął za rączkę – trzy razy. Głos Alstaira podjął:

– Tu, na statku, jest teraz piekło. To już nie jest statek, a raczej kocioł diabelski. Pozostało nas siedmiu żywych; uczymy Centauryjczyków posługiwania się statkiem. Ale powiedzieliśmy im, że nie możemy wyłączyć rakiet, by pokazać im ich wewnętrzną budowę, ponieważ dla ich ponownego odpalenia będą musieli mieć w pobliżu masę planety powodującą deformację przestrzeni, co jest konieczne do zapoczątkowania reakcji. Będą nas trzymać przy życiu, dopóki im tego nie pokażemy. Mają jakieś swoje pismo, i zapisują wszystko, co mówimy, po przetłumaczeniu przez dyktopisarkę. Bardzo naukowo...

Głos przerwał w pół zdania.

– Właśnie nadszedł wasz sygnał – podjął w chwilę później. – Znajdziecie gdzieś tam żywność. Powietrza powinno wam wystarczyć aż do lądowania. Macie jeszcze przed sobą cztery dni podróży. O nawigację się nie martwcie. Oni się tym zajmują. Odezwę się jeszcze później.

Głos ponownie zamilkł – tym razem na dobre.



Tamci dwoje, mężczyzna i dziewczyna, zbadali statek Centauryjczyków. W porównaniu z *Adastrą* był miniaturką. Długi na trzydzieści metrów czy może trochę więcej, w najszerszym miejscu miał około dwudziestu. Znaleźli kabiny, czy raczej komórki, teraz kompletnie puste, które bez wątplenia mieściły kiedyś ciasno upakowanych roślinoludów.

Pomieszczenia te mogły być schładzane do niskiej temperatury; było bardzo prawdopodobne, że na niską temperaturę Centauryjczycy reagowali podobnie, jak rośliny na Ziemi w zimie, zapadając w stan hibernacji przypominający zimowy sen zwierząt. Takie rozwiązanie powinno pozwalać na przewożenie nadzwyczaj licznej załogi, którą można było ożywiać na czas walki czy lądowania.

– Gdyby przebudowali *Adasirę* do podróży na Ziemię według takich zasad – powiedział posepnie Jack – zmieściliby w niej najmarniej sto pięćdziesiąt tysięcy Centauryjczyków. A pewnie i więcej.

Myśl o zaatakowaniu ludzkości przez owe kreatury dręczyła go jak obsesja. Był nią wręcz zmaltrretowany. Helen po kobiecemu próbowała go pocieszać kierując rozmowy na temat ich obecnej, bezpiecznej sytuacji.

– Zgłosiliśmy się dobrowolnie na wiwisekcję – powiedziała do niego pocieszająco na drugi dzień po odzyskaniu przez nich przytomności – a jesteśmy chociaż chwilowo bezpieczni. I... mamy siebie nawzajem...

– Czas na ponowne zgłoszenie się Alstaira – uciał szorstko Jack.

Od momentu ostatniej łączności upłynęło już prawie trzydzieści godzin.

Centauryjski rozkład zajęć, podobnie jak ludzkie regulaminy obowiązujące na ziemskich statkach kosmicznych, opierał się na jednostce czasu równej okresowi dobowego obrotu planety.

– Lepiej chodźmy go posłuchać – dodał.

Tak też zrobili. Umęczony głos Alstaira popłynął z przedziwnie wyglądającego głośnika o spodziewanej porze. Brzmiał mniej przytomnie niż poprzedniego dnia i słychać w nim było napięcie. Opowiedział im o postępach, jakie poczyniły stwory w nawigowaniu *Adasirą*. Pozostali przy życiu oficerowie, w liczbie sześciu, nie byli już potrzebni do nadzorowania pracy urządzeń statku. W szczególności została wyłączona aparatura oczyszczająca powietrze, ponieważ przez usuwanie dwutlenku węgla z atmosfery czyniła ją nieprzydatną do Oddychania dla Centauryjczyków.

Sześciu ludziom pozwolono pozostać przy życiu, by mogli zaspokajać nienasyconą żądzę informacji roślinoludów. Żyli pod nieustanną presją; żądano od nich drobiazgowego ujawniania zasobów pamięci, w celu zarejestrowania ich przedziwnym pismem ich ciemiężców. Najmłodszy z sześciu, podoficer wydziału regeneracji powietrza, oszalał, zarówno z powodu pamięci o niedawnych wydarzeniach, jak i oczekiwań co do swego losu. Wył nieprzytomnie przez wiele godzin i został zabity, a jego ciało bezzwłocznie zmumifikowano za pomocą dziwnych, wysuszających centauryjskich

chemikaliów. Reszta przypominała żyjące cienie; płoszył ich najcichszy szmer.

– Szybkość hamowania uległa zmianie – powiedział Alstair słabym głosem. – Dolecie na miejsce na dwa dni przed naszym lądowaniem na planecie, którą te diabły nazywają swoją macierzystą. To dziwne, ale zupełnie nie mają instynktu kolonizowania innych planet. Zdaje mi się, że następny z nas jest u progu załamania. Nawiasem mówiąc, zabrali nam paski i buty; były ze skóry. My byśmy zabrali złotą wstążkę do pakowania prezentów świątecznych, no nie? Konsekwentne są te... – tu już nie wytrzymał, i wybuchnął histerycznie:

– Jaki ja głupi jestem! Wysłałem was oboje, razem, a sam tu żyję w tym piekle! Gary! Rozkazuję ci trzymać się z daleka od Helen! Zakazuję wam rozmawiać ze sobą! Rozkazuję, żebyście...

Minął kolejny dzień. I następny. Alstair zgłaszał się jeszcze dwukrotnie. Sądząc po głosie za każdym razem był coraz bardziej zrozpaczony, szarpany nerwami i bliższy progu szaleństwa. Za drugim razem szlochał, przeklinając Jacka za to, że jest tam, gdzie nie ma żadnych roślinoludów.

– Nie interesujemy już tych diabłów, chyba że jako zwierzęta. Nasze mózgi przestały się liczyć. Statek systematycznie wybebeszają; wczoraj wyłapali dżdżownice z sektora rolniczego, gdzie uprawialiśmy zboża. Każdego z nas pilnuje teraz strażnik. Mój dziś rano

wyrwał mi trochę włosów i zeżarł je, kołysząc się w ekstazie. Nie mamy już wełnianych koszul! To dzikie bestie!

Minął kolejny dzień. Alstair na poły uległ już hysterii. Na statku zostało już tylko trzech żywych ludzi. Alstair miał przekazać Jackowi instrukcje dotyczące lądowania jajowatego statku na niezamieszkałej planecie; Jack miał w tym pomagać. Cel podróży był już bliski: tarcza planety, która miała być ich więzieniem, wypełniała połowę nieba. Inna planeta, ku której zmierzała *Adasira*, jawiła się już Alstairowi jako krążek.

Poza pierścieniami Proximy Centauri było łącznie sześć planet, a planeta-więzienie była następną, licząc od słońca, po macierzystej planecie roślinoludów. Dla Centaury języków raczej za chłodna, stanowiła mimo to przez tysiąc lat cel wypraw łowców mięsa, które przeszukiwały jej powierzchnię, dopóki pozostawał na niej choćby jeden ssak, ptak, ryba, czy nawet skorupiak. Poza jej orbitą krążył świat skutu lodem, a jeszcze dalej obiegały Proximę Centauri zamrożone bryły, wirujące w kosmicznej pustce.

– Teraz już wiesz, jak przejąć kontrolę nad statkiem, kiedy wiązka sterująca uaktywni stery aerodynamiczne – powiedział głos Alstaira. Głos ten drżał, jak gdyby dobywał się spoza zębów szczękających z samego napięcia nerwowego. – Będziecie mieli spokój. Drzewa, kwiaty i coś w rodzaju trawy, jeśli zdjęcia, które oni robią, są coś warte. A my zbliżamy się do najświetniejszego festynu w całej historii piekła. Wszystkie statki kosmiczne zostały wezwane do bazy. Na

całej planecie nie będzie ani jednego Centauryjczyka, który by nie dostał do pożarcia choćby maleńkiego ochłap-ka jakiejś zwierzęcej tkanki. Każdy dostanie dość, żeby mu to sprawiło tę dziką rozkosz, której doznają, kiedy się dorwą do czegokolwiek pochodzenia zwierzęcego.

A niech ich szlag trafi! Każdy osobnik z całego gatunku! Jesteśmy największym skarbem, o jakim mogliby kiedykolwiek zamarzyć! Nie robią sobie ceregieli i gadają przy mnie, a jestem już dostatecznie szalony, żeby rozumieć całkiem sporo z tego, co mówią między sobą. Ich najgłówniejszy ważniak planuje już nowe statki – większe, niż hodowali kiedykolwiek. Wyprawi się na Ziemię w trzysta okrętów kosmicznych, z większością załóg we śnie czy hibernacji. Na tych statkach będzie trzy miliony diabłów z piekła rodem, a także owe cholerne miotacze promieni, które stopią każdy ziemski statek z dziesięciu milionów kilometrów.

Najwyraźniej mówienie pomagało Alstairowi utrzymać się przy zdrowych zmysłach. Następnego dnia jajowaty statek Jacka i Helen wpadł z kosmicznej próżni w atmosferę, dziko wyjąca na jego gładkich bokach. Jack natychmiast przejął stery i pojazd zaczął opadać wolniej i wolniej, aż w końcu osiadł miękko na zielonej polanie, tuż pod lasem dziwnych, ale nie budzących obaw drzew. W tej części planety było tuż przed zachodem słońca, i zanim mogli rozpocząć eksplorację, zapadły ciemności.

W ciągu następnych dwóch dni i tak prawie nie oddalali się od statku; Alstair mówił prawie bez przerwy.

– Następny statek leci z Ziemi – powiedział, a głos mu się załamał.

– Następny statek! Wystartował co najmniej cztery lata temu. Dotrze tu za następne cztery. Wy dwoje może go jeszcze ujrzyć, a ja będę martwy lub szalony, zanim jutro zajdzie słońce! I co najzabawniejsze, zdaje mi się, że najbliżej obłędu jestem wtedy, gdy myślę, że ty, Helen, pozwalasz się całować Jackowi! Kochałem cię, wiesz to; kochałem cię, kiedy jeszcze byłem człowiekiem, zanim stałem się truchłem, bezwolnie obserwującym, jak mój statek leci prosto do piekła. Bardzo cię kochałem. Byłem zazdrosny i kiedy patrzyłaś na Gary’ego lśnięcymi oczyma, nienawidziłem go. I ciągle jeszcze go nienawidzę, Helen! Och, jak ja go nienawidzę!

Ale głos Alstaira był już teraz głosem ducha, ducha wtrąconego do czyśćca.

– Ach, jakim byłem głupcem, dając mu ten rozkaz!

Jack krążył po statku, tocząc dookoła niewidzącymi, płonącymi oczami. Helen zarzuciła mu ramiona na szyję; jakby ocknął się i burknął coś z roztargnieniem, głosem nabrzmiałym od nienawiści. Rozpierała go desperacka pasja – żądza mordowania Centauryjczyków. Zaczął grzebać w maszynach. Pochłonęło go kleczenie dziesięciokilowatowego miotacza wirowego z różnych dziwnych urządzeń. Pracował nad tym przez wiele godzin. W pewnym momencie usłyszał, że Helen coś gdzieś robi; wyglądało na to, że Się z czymś mociuje. To go rozproszyło. Rzucił robotę i poszedł zobaczyć.

Właśnie wyciągała na zewnątrz ostatnie klatki przywiezione z *Adastry*. Wypuszczała zamknięte w nich

małe stworzenia. Gołębie polatywały radośnie nad jej głową. Króliki, tylko co wyskoczywszy z jej rąk, chrupały z rozkoszą nieznaną, ale zadowalająco liściastą roślinność u jej stóp.

Napawała się ich widokiem. Było ich sześć i jeszcze maleńkie jagnię na chwiejnych nogach. Kurczęta dziobały i drapały. Ale na tym świecie nie było owadów – mogły znaleźć tylko nasiona i zieleninę. W promieniach słońca cztery szczeniaki tarzały się radośnie w szorstkich zielonościach.

– W każdym bądź razie – odezwała się przekornie Helen – chociaż one mogą być na razie szczęśliwe! Nie tak jak my – my mamy się czym martwić! A przecież ten świat mógłby być rajem dla ludzi!

Jack potoczył ponurym wzrokiem po zielonym i pięknym świecie. Żadnych groźnych zwierząt. Żadnych dokuczliwych owadów. Na tej planecie nie mogło być nawet chorób, chyba że człowiek sam by je tu sprowadził. To rzeczywiście mógłby być raj.

Z wnętrza statku kosmicznego dobiegł szmer ludzkiego głosu. Jack powlókł się smętnie do środka, żeby posłuchać. Helen poszła w jego ślady.

Stali w dziwnie ukształtowanym pomieszczeniu sterowni. Ściany, podłogi, sufit, obudowy urządzeń – wszystko było zrobione z matowej, ciemnobrązowej substancji, która urosła w kształty, jakich sobie zażyczyli

Centauryjczycy. Głos Alstaira był dziwnie spokojny, już nie tak histeryczny i całkiem opanowany:

– Mam nadzieję, że nie wyszliście gdzieś na zwiady – dobiegło z głośnika. – Oni mieli tu dzisiaj święto. *Adasira* wylądowała. Ja ją posadziłem. Jestem jedynym człowiekiem, jaki pozostał przy życiu. Zeszliśmy w dół w centrum miasta tych diabłów, pomiędzy budynkami pasującymi mi na centralę tego piekła. Główny ważniak ma coś w rodzaju pałacu, tuż obok otwartej przestrzeni, na której teraz jestem.

Dzisiaj świętowali. Aż dziwne, ile materii pochodzenia zwierzęcego było na *Adastrze*. Znaleźli nawet końskie włosie usztywniające kołnierze naszych mundurów. Wełniane koce. Buty. Nawet niektóre mydła zawierały tłuszcze pochodzenia zwierzęcego, a oni je „przerafinowali“. Potrafią odzyskiwać każdą odrobinę materii zwierzęcej tak sprytnie, jak nasi chemicy odzyskujący złoto, czy rad. Niesamowite, prawda?

Przez chwilę głośnik milczał.

– Jestem już teraz przy zdrowych zmysłach – powiedział opanowany głos. – Wydaje mi się, że na jakiś czas oszalałem. Ale to, co dziś widziałem, oczyściło mój umysł. Widziałem miliony tych diabłów pogrążających macki w wielkich zbiornikach, olbrzymich korytach, w których był roztwór wszystkich zwierzęcych tkanek z *Adastry*, rozpuszczonych w jakimś płynie. Najwyższy rangą ważniak zatrzymał mnóstwo dla siebie! Widziałem rzeczy, jakie znoszono do jego pałacu między szeregami strażników. Niektóre z tych rzeczy były kiedyś moimi przyjaciółmi. Widziałem miasto oszalałe od dzikiej



radości, widziałem tych diabłów kołyszących się w przód i w tył w ekstazie, kiedy wchłaniali łupy z Ziemi. Słyszałem najważniejszego arcydiabła, wygwizdującego coś w rodzaju mowy tronowej do narodu. Nauczyłem się rozumieć mnóstwo z tych pogwizdów. Mówił im, że Ziemia jest zapchana zwierzętami. Ludźmi. Ptakami. Zwierzyną. Rybami w oceanie. I powiedział im, że wkrótce zostanie wyhodowana największa flota w historii, flota, używająca ludzkich metod napędu – naszych rakiet, Gary – i że ta pierwsza flota przeniesie nieprzeliczone mrowie roślinoludów, którzy mają zdobyć i okupować Ziemię. Przyślą na macierzystą planetę skarby, tak że każdy z jego poddanych będzie mógł często doznawać takiej rozkoszy jak dziś. A te diabły, kołysząc się szaleńczo w tę i z powrotem, wydały ten swój przeraźliwy skowyt. Miliony ich naraz.

Jack jęknął cicho. Helen zakryła oczy, jakby chcąc zasłonić obraz, malujący się w wyobraźni.

– A teraz będzie o sprawach najważniejszych z waszego punktu widzenia – powiedział spokojnie Alstair, odległy od nich o miliony kilometrów; jedyna ludzka istota na planecie krwiożerczych roślinoludów. – Teraz idą w moją stronę ich uczeni, żebym im pokazał wewnętrzną budowę rakiet. Do was ma jutro przybyć kilku innych, żeby was wypytywać. Ale mam zamiar pokazać tym diabłom nasze rakiety. Jestem pewien, całkowicie pewien, że każdy statek kosmiczny tej rasy jest teraz na tej planecie.

Ich załogi przybyły tu brać udział w święcie, podczas którego każdy z roślinoludów dostał jako

darmowy podarek od wielkiego ważniaka tyle zwierzęcej tkanki, ile dotąd mógł mieć nadzieję zgromadzić harując przez całe życie. Zwierzęce ciało jest tu znacznie cenniejsze niż u nas złoto; jego wartość, biorąc rzecz porównawczo, mieści się gdzieś pomiędzy platyną a radem. A więc wszyscy wrócili do domu. Każdy z nich! I pamiętajcie, że statek z Ziemi jest w drodze. Dotrze tu za cztery lata. Pamiętajcie o tym!

Z głośnika dobiegł niecierpliwy, odległy gwizd.

– Już tu są – powiedział spokojnie Alstair. – Pokażę im teraz rakiety. Może i wy zobaczycie ten ubaw. To zależy od pory dnia, jaką teraz macie. Ale pamiętajcie, że siostrzany statek *Adasiry* jest w drodze! I jeszcze jedno, Gary – to, że jako ostatnią rzecz dałem ci tamten rozkaz, było czynem szaleńca, ale cieszę się, że to zrobiłem. Żegnajcie oboje!

Z głośnika dobiegły odległe, cichnące pohukiwania. Daleko, daleko, w centrum miasta diabłów, Alstair szedł z roślinoludami, by pokazać im wewnętrzną budowę raket. Pragnęli zrozumieć zasadę działania napędu wielkiego statku w każdym szczególe, tak by mogli zbudować – czy raczej wyhodować – statki równie wielkie i przewieźć nieprzeliczone miriady najeźdźców do systemu słonecznego, gdzie znajdowały się zwierzęta.

– Wyjdźmy na zewnątrz – rzucił szorstko Jack. – Powiedział kiedyś, że woli to zrobić sam, bo nie ma urządzenia, na którym mógłby w tej sprawie polegać.

Myślałem wtedy, że oszalał. Dotarcie przy życiu na ich planetę nie wydawało się wtedy możliwe. Wyjdziemy na zewnątrz i popatrzymy na niebo.

Helen potknęła się. Stanęli na zielonej trawie patrząc na firmament ponad głowami. Czekali. Jack wyobraził sobie wielkie przedziały rakietowe

*Adastry.* Wydawało mu się, że widzi wchodzącą do nich dziwną procesję; hordeę upiornych roślinoludów, a za nimi Alstaira, z kamienną twarzą i równie spokojnymi dłońmi.

Powinien otworzyć komorę spalania jednej z rakiet. Powinien wytłumaczyć działanie pola dezintegracyjnego, które zgniata elektrony wodoru, tak że jego atomy zmieniają się w atomy helu, a hel zmienia się w lit, podczas gdy tlen z wody zostaje dosłownie rozdarty na neutrony i czystą energię. Powinien odpowiedzieć na zadawane w pohukującej mowie pytania. Generatory ultradźwiękowe powinien przedstawić jako urządzenia do sterowania mocą i kierunkiem strug wylotowych. Nie powie o fakcie, że tylko materiał dysz rakietowych przenikany ultradźwiękami o częstotliwości dokładnie takiej, jaką wytwarzały generatory, był w stanie wytrzymać skutki działania pola dezintegracyjnego.

Nie powinien też wytłumaczyć, że rakietka odpalona bez działającego już przedtem generatora zajmie się od paliwa i że każda inna substancja oprócz jednej: materiału użytego na dysze, w każdych innych warunkach – za wyjątkiem tej konkretnej częstotliwości drgań – także się zajmie, i że dysze, statek, a wraz z nimi planeta, znikną w migotliwym błysku purpurowego płomienia.

Nie – tego Alstair im nie wytłumaczy. Pokaże Centauryjczykom, jak uruchomić pole Caldwellella.

Mężczyzna i dziewczyna spoglądali w niebo. I wtem rozbłysło na nim ogniście purpurowe światło. Przyćmiło czerwono zabarwione promienie otoczonego pierścieniami słońca, które stało nad ich głowami. Purpurowe światło utrzymywało się – przez sekundę, dwie, trzy. Nie towarzyszył mu żaden dźwięk; odczuli tylko chwilowy udar nieznośnego żaru. I wszystko było znowu tak, jak przedtem.

Otoczone pierścieniami słońce jasno świeciło. Chmury, zupełnie jak ziemskie, płynęły spokojnie po niebie, trochę tylko mniej niebieskie niż te na Ziemi. Małe zwierzęta z *Adastry* chrupały z upodobaniem liściaste rośliny u ich stóp. Gołębie radośnie śmigały w powietrzu, gimnastykując na wolności skrzydła.

– Zrobił to – powiedział Jack. – A wszystkie ich statki kosmiczne były w bazie. Roślinoludy już nie istnieją; zniknęła ich cywilizacja, ich planeta i ich plany zniszczenia naszej Ziemi.

Tam, gdzie była planeta Centauryjczyków, w przestrzeni kosmicznej nie pozostało nic. Nawet para, czy stygnące gazy. Zniknęła, tak jak gdyby nigdy nie istniała. A mężczyzna i kobieta z Ziemi stali na planecie, która mogła być rajem dla ludzi, zaś następny statek z większą liczbą istot ich rodzaju był w drodze.

– Zrobił to – powtórzył cicho Jack. – Niechaj spoczywa w pokoju. A my – my możemy teraz pomyśleć o życiu zamiast o śmierci.

Powoli z jego twarzy ustąpiło napięcie. Spojrzał na Helen. Delikatnie otoczył ją ramieniem.

Przytuliła się do niego radośnie, odrzucając wszelkie myśli o tym, co minęło. Po chwili spytała cicho:

– Jaki był ostatni rozkaz Alstaira – ten, który ci dał na piśmie?

– Nawet nie spojrzałem – odparł Jack.

Pogrzebał w kieszeni. Wynurzył się z niej wymięty i postrzępiony formularz rozkazowy. Przebiegł wzrokiem tekst i podał papierek Helen.

Zgodnie z przepisami, uchwalonymi, zanim *Adasira* opuściła Ziemię, prawo i jego egzekwowanie na sztucznej planecie spoczywały w rękach kapitana potężnego statku. W szczególności ustalono, że legalny związek małżeński na *Adasirze* miał być ustanawiany oficjalnym rozkazem podpisanym przez kapitana. A formularz podany przez Alstaira Jackowi, kiedy ten szedł, jak sądził, na śmierć w okrutnych mękach, był takim właśnie rozkazem. Inaczej mówiąc, stanowił akt zawarcia małżeństwa.

Tamci dwoje uśmiechnęli się do siebie.

– To... to nie byłoby istotne – powiedziała niepewnym głosem Helen – ale cieszę się z tego rozkazu!

Jeden z wypuszczonych na wolność gołębi znalazł na ziemi słomkę. Dziobnął ją. Jego towarzyszka obejrzała ją starannie. Coś do siebie pogruchały. Odleciały ze słomką.

W toku przeprowadzonej dyskusji podjęły decyzję, że była to słomka znakomicie nadająca się do rozpoczęcia budowy gniazda.

**Przełożył**

**STANISŁAW PLEBANSKI**

**Uwaga Święty Patryk**

(Attention Saint Patrick)

*Legendy, oczywiście w miarę upływu czasu ulegają pewnemu zniekształceniu. W przyszłości podróże przez kosmos na inne planety, również mogą tu i tam spowodować drobną modyfikację...*

Prezydent rządu planetarnego Eire, O'Hanrahan, słuchał swego oficjalnego gościa, z rozpaczą w duszy. Nie miał innego wyjścia, ponieważ Sean O'Donohue był przewodniczącym Komitetu Dail ds. Stanu Planety Eire — z Eire na Ziemi. Gdyby tylko zechciał, mógłby odciąć całe wsparcie dla, nadal walczącej z trudem o przetrwanie, kolonii. Gość był niskim, upartym człowieczkiem, miał ostre, świdrujące oczka, ścięte na jeża siwe włosy, wyraźnie kiedyś były rude, a przede wszystkim był dziadkiem Moiry O'Donohue, która przybyła z nim na Eire, w bardzo niewygodnym statku kosmicznym. To ostatnie generalnie liczyło mu się na

plus, jednak w tej chwili wszyscy stali razem na zapadającym się ganku rezydencji prezydenta Eire, a on wydawał się uosobieniem prawa.

– Jestem tutaj od trzech dni – surowo oznajmił prezydentowi, podczas gdy jego wnuczka miała bardzo współczującą minę, – i wydaje mi się, że z dzieją się tu różne shenanigans, które mogą spowodować, że ta piękna planeta nigdy nie stanie się tym, czym powinna — miejscem dla ludzi z Eire na Ziemi, do którego będą mogli wyemigrować, gdy będzie ich zbyt wielu, by zmieścili się na Erin. Tak jak to właśnie zaczyna być już obecnie!

– Mieliliśmy pewne trudności... – niespokojnie zaczął prezydent.

– Ta planeta powinna być już gotowa! – oskarżycielsko warknął Sean O’Donohue. – Powinna już czekać na Caseyów, Bradych, Fitzpatricków i innych wspaniałych ludzi z ludu Erse, tak by mogli się tu przeprowadzić i żyć sobie w szczęściu, podczas gdy reszta galaktyki schodzi na psy z tymi swoimi nowomodnymi koncepcjami. To jest podstawowy powód istnienia tej kolonii. Co wyróżniało Erin na Ziemi, gdzie żyli nasi przodkowie i gdzie ich potomkowie depczą sobie nawzajem po odciskach, ponieważ jest ich tak wielu? Nie było tam węży! Od kiedy wypędził je Święty Patryk. Co odróżnia ten świat od innych nadających się do życia planet, na których ludzie wylądowali swymi cuchnącymi statkami kosmicznymi? Tu nie ma węży! Święty Patryk musi mieć wielkie wpływy tam w górze, w Niebie. Wiedział, że jego piękny lud Erse będzie wkrótce potrzebował więcej przestrzeni życiowej, niż ma do



dyspozycji na Ziemi. Wyróżnił więc tę planetę i oznaczył ją swoim znakiem tak, by nie istniał na niej nawet ślad węzowego ludu. Nie powinno tu być żadnego stworzenia, z gatunku tych, które skusiły Matkę Ewę! Nie...

– Naszym problemem były dino... – przepraszającym tonem zaczął się tłumaczyć prezydent.

Nagle zastygł bez ruchu. Coś ciemnego, wijącego się, pełnego samozadowolenia i pewności siebie, wypełzało właśnie z zakamarka rezydencji prezydenta. Prezydent Eire oblał się potem. Rozpoznał ciemne stworzenie. Miał nadzieję, że będzie sobie bezpiecznie leżało w przyjemnym i miłym zamknięciu, dopóki członek Komitetu Dail nie odjedzie. A jego gość ciągle tu był. To był Timothy, miły sześciostopowy czarny wąż, który wiernie i z uczuciem robił co tylko mógł, aby uchronić rezydencję prezydenta przed rozpadnięciem się. Bez niego, niezliczone dziury o rozmiarach mysiej nory, wygryzane przez dino wielkości myszy, z pewnością spowodowałyby jej zawalenie. Prezydent był mu za to niezmiernie wdzięczny, ale zamierzał trzymać Timothy'ego gdzieś poza zasięgiem wzroku gościa. Timothy musiał uciec i jako wierny wąż, lojalny w stosunku do swoich obowiązków, zaczął kręcić się gdzieś po zakamarkach rezydencji prezydenta.

Jak wszyscy na Eire, niewątpliwie znał pobożną tradycję, że Święty Patryk wypędził węże z Eire, a nie należał do tych, którzy lekceważyliby sobie Świętego Patryka. Tak więc wrócił i patrolował tunele wygryzione przez dino w zawałającej się budowli. Oczyszczał je ze wszystkich miniaturowych, podobnych do dinozaurów stworzeń, które mogłyby planować zjedzenie jakichś

kolejnych gwoździ. Teraz, z czystym sumieniem, przygotowywał się do drzemki. Ale, jeżeli Sean O'Donohue go zobaczy...!

Pot perlił się na czole prezydenta O'Hanrahana. Kropelki łączyły się i spływały wzdłuż nosa.

– To oczywiście – oznajmił zaczepnie przewodniczącą Komitetu Dail, – że jeżeli zejdziemy z dróg tradycji naszych ojców, staniemy się bandą bezwartościowych finagling, albo może nawet protestanckich renegatów! Tutaj dzieją się jakieś shenanigans! Dojdę do tego, obiecuję!

Prezydent nie mógł mówić, kiedy Timothy był na pełnym widoku. Jednak to, co się wtedy wydarzyło, praktycznie można nazwać cudem. Z dziury w darni wypadł nagle dino. Rozejrzał się wokoło z zainteresowaniem. Miał może ze trzy cale długości, czerwone oczy i niebieski ogon, ale był proporcjonalną miniaturką wymarłych dinozaurów z Ziemi. Był to jednak ulepszony model. Dino z Eire zostały wręcz stworzone przez ewolucję — albo szatana — by nękać ludzkich osadników. Zjadały im zbiory, niszczyły domy, pożerały narzędzia, a kiedy już skończyła się wszelka inna żywność, zabierały się również za nich samych.

Ten dino uważnie badał swoje otoczenie. Rezydencja prezydenta wyglądała całkiem obiecująco. Dino ruszył prosto w jej stronę. Ale Timothy — porzuciwszy plany drzemki — rzucił się na dino jak śmigający bicz. Dino zanurkował z powrotem do swojej dziury. Timothy w pościgu, skoczył za nim. Zniknął.

Prezydent Eire odetchnął. Wydawało się, że na kilka minut mógł dać sobie spokój z tą sprawą. Znowu wsłuchał się w głos, kontynuujący ponuro:

– Ja wiem, że będziecie próbowali ukryć te shenanigans, które unicestwiły ogromne ofiary, poniesione przez Ziemię, aby uczynić z Eire prawdziwą kolonię Erse, gotową do tego by chłopcy i dziewczęta Erse mogli się na nią przenieść i mieć miejsce dla swoich dzieci, oraz dzieci ich dzieci. Wiem, że spróbujecie! Ale dopóki się nie dowiem o co tutaj chodzi, ta kolonia nie dostanie nawet skrawka pomocy z Ziemi! Żadnych narzędzi! Żadnych maszyn, które zastąpiłyby te zniszczone! Żadnego zaopatrzenia, które moglibyście ściągnąć dla siebie! Wasze lodówki powinny pękać od żywności! Są niemal puste! Nie uzupełnimy ich! Nawet statek z pocztą, który opłacamy, by zatrzymywał się tu co trzy miesiące — koniec statku!

– To przez dino – słabo wymamrotał prezydent. – One są dla nas olbrzymim problemem, sir. To wielkie obciążenie dla nas.

– Głupoty i nonsensy! – warknął Sean O'Donohue. – One są nie większe od myszy! Możecie łapać je w łapki! Możecie sprowadzić koty! Proszę mi nie mówić, że te fantastycznie ubarwione małe jaszczurki mogłyby zaszkodzić planecie, specjalnie wyróżnionej i scedowanej przez Świętego Patryka, dla ludu Erse, aby mógł tu dalej rozkwitać! Wyraźny znak! Tu nie ma węży! A przy takim jawnym znaku, jeżeli już o tym mówimy, w to żeby rzeczy poszły źle, musiały być wmieszane shenanigans! I dopóki te shenanigans nie zostaną ujawnione i

zakończone — nie będzie dla was dalszej pomocy z Ziemi, wy blaggards!

Niemal wybiegł z rezydencji prezydenta. Zamykane drzwi trzasnęły z hukiem. Moira, jego wnuczka, z sympatią spoglądała na prezydenta. Wyglądał na stłamszonego i przybitego. Otarł czoło z potu. Nie unosił wzroku, by spojrzeć jej w oczy. Wystarczająco przykre było już to, że był prezydentem rządu planetarnego, którego nie było nawet stać na zapłacenie mu należnej pensji, tak że musiał nosić łąty na tyłku, co Moira musiała zauważyć. Gorsze jednak było, że kolonia jako całość, ale to absolutnie kompletnie, wyglądała jak pieczołowicie przechowywane skanseny z chałupami, w Irlandii na Ziemi. A już tragiczne było to, że dla każdego mężczyzny na Eire wydawało się nawet rozpaczliwie śmiesznym prosić dziewczynę z Ziemi, aby się do niego przyłączyła na tak małą obiecującą planetę.

Oszołomiony powiedział:

– Moira, pozwolisz, że będę już ci życzył dobrego dnia.

Oddalił się, z opuszczoną i podbródkiem wbitym w pierś. Moira obserwowała jak odchodzi. Nie wydawała się być szczęśliwa. Nagle, pięćdziesiąt jardów od rezydencji, wyskoczyło z dziury coś upiornie ubarwionego. To był dino o długości jakichś ośmiu cali, poruszający się na tyle szybko, by można było powiedzieć, że tuż za nim musiało się znajdować coś naprawdę przerażającego. Wylądował niemal o krok przed prezydentem i natychmiast odbił się dalej, biorąc nogi za pas. W tym momencie jednak, prosto na niego, spadło z drzewa coś czarnego i wijącego się, i

natychmiast podniósł się obłoczek kurzu, w którym toczyła się jakaś gwałtowna kotłowanina. Mały początkowo obłoczek, robił się coraz większy. Prezydent przyglądał się temu z niezdrowym zainteresowaniem, tak jakby był świadkiem jakiegoś sportowego widowiska.

Moira wpatrywała się w to wszystko, z niedowierzaniem w oczach. Z dziury, z której wyskoczył dino, wychynęła czarna, okrągła głowa. To pewnie był Timothy. Zobaczył jednak, że tym dino już się ktoś zajął. O to właśnie chodziło. Timothy — jeżeli to był Timothy — wycofał się, by dalej przeszukiwać tunele dino w okolicy rezydencji prezydenta.

\*\*\*\*\*

Pół godziny później prezydent opowiadał o wszystkim głównemu doradcy prawnemu Eire. Przemawiał gorzkim tonem:

– A kiedy wszystko się już skończyło, Moira stała na ganku kompletnie oszołomiona i gapiła się, a ten, cholerny wąż wziął tego dino, którego przed chwilą upolował, i zaczął spokojnie zjadać go na obiad. Ale ja już szedłem w jego stronę. A więc ten cholerny wąż, z dino w pysku, grzecznie poczekał aż podejść. Wyglądało to dokładnie tak, jakby przyniósł tego dino do mnie i czekał na nagrodę, tak jak kot przynosi i pokazuje upolowane myszy komuś, kto według niego będzie tym zainteresowany!

– Święty Patryku! – główny doradca prawny złapał się z przerażeniem za głowę. – I co teraz będzie?

– Myślę – z bólem odparł prezydent, – że powie dziadkowi o wszystkim co widziała, wtedy on wezwie kogoś do siebie i z tymi swoimi świdrującymi oczkami zacznie go przesłuchiwać, a ten biedny *omadhoum* w końcu puści farbę, że tu na Eire wszyscy wiedzą, że Święty Patryk tutaj sprowadził węże i z tego powodu jest tutaj tym bardziej szanowany i czczony. To zaś będzie oznaczało już całkowity koniec statków oraz dostaw żywności i narzędzi z Ziemi, i będziemy mogli mówić o szczęściu, jeśli uda nam się ewakuować, zanim planeta zostanie całkowicie pozostawiona samej sobie.

Na twarzy głównego doradcy prawnego, zagościł wyraz całkowitego braku nadziei.

– A więc wszystko się posypało – stwierdził ponuro. – Wydaje mi się, panie prezydencie, że lepiej zwołać posiedzenie gabinetu, aby zapoznał się z tymi faktami.

– I co to zmieni? – zapytał prezydent. – Ja, w każdym razie, stąd się nie ruszam! Zostanę tu, nawet jeśli miałbym być jedynym człowiekiem, który to zrobi. I tak już nic mi w życiu nie zostało, ale przynajmniej jako jedyny człowiek, który pozostał na Eire będę mógł spędzić resztę moich dni waląc dino po łbach, za to co nam zrobiły! – Potem nagle ryknął w desperacji: – Kto wypuścił te przekłete węże! Jak go dopadnę, łapy mu powyrywam!...

\*\*\*\*\*

Minister Skarbu zerknął przez szparę w drzwiach do pokoju obrad rządu. Stwierdził, że reszta gabinetu Eire już się zebrała. Uspokojony wszedł do środka. Coś poruszyło się w jego kieszeni i wyciągnął z niej, patrzącego z wyrzutem węża. Powiedział do niego:

– Nie bądź znowu taki oburzony! Poszedłeś sobie na spacer w miejsce publiczne, na ulicę. Gdyby Sean O’Donohue cię zobaczył... – Dodał do innych członków gabinetu: – Pozostali dwaj członkowie Komitetu Dail wydają się być dobrymi, uczciwymi ludźmi, którzy nie gardzą dobrym trunkiem. Jeden z nich przed chwilą — wydaje mi się, że to stoczniovec — chciał trochę zmienić scenerię od tej którą można obejrzeć przez dno szklaneczki. Wziąłem go więc na spacer. Pokazałem mu bandę dino trenujących skoki na czterech łapkach i próbujących podrzucić jednego z nich na dach, do wylotu rynny, tak by mógł odgryźć parę kawałków i zrzucić je reszcie na dół. Mieniły się wszystkimi kolorami tęczy, i było to coś naprawdę warte obejrzenia. Facet z komitetu — mówię wam, to bardzo dobry człowiek! — był trochę oszołomiony, ale przyjrzał się znowu i zarzekał się, że cokolwiek złego można by powiedzieć o Eire, to nikt nie może zaprzeczyć, że jej whisky działa dobrze na wyobraźnię!

Rozejrzał się wokoło po pokoju obrad. W listwie przypodłogowej pod wyrzeźbionym godłem planety kolonii znajdowała się dziura. Położył na podłodze obok niej swojego węża. Z wyrazem urażonej godności, wąż wślizgnął się w ciemny otwór.

– A teraz, może ktoś mi powie po co się zebraliśmy? – zapytał. – Od razu muszę zaznaczyć, że jeśli na to potrzebne są pieniądze, to nie ma takich możliwości.

Prezydent O’Hanrahan powiedział chorym głosem:

– Poprosiłem was o spotkanie chyba tylko po to, by wzorem przeklętego Cromwella, nakazać ścięcie tego, kto wypuścił z zamknięcia czarne węże. Jednak prawda wygląda tak, że kiedy siedziały razem w klatce, to wiedziały, że nie odpędzają dino i bardzo martwiło je, iż zaniedbują swoją pracę. Zaczęły więc kopać tunele jak przestępcy w więzieniu, i szybko wydostały się na zewnątrz. Oczywiście takie wierne stworzenia jak one natychmiast z zapalem przystąpiły do pracy, by nadrobić zaległości w chwytaniu dino. Robią to zresztą nadal. Całkowicie nas zrujnowały, ale przecież chciały dobrze.

Minister Polityki Informacyjnej spytał z niepokojem:

– Co robi O’Donohue, kiedy dowie się, że one są tutaj?

– Jeszcze nie wie... na razie – stwierdził prezydent bez specjalnej radości. – Moira nic mu nie powiedziała. Ona jest chyba aniołem! Ale dowie się, z całą pewnością. A wtedy, jeśli nie rozsadzi go wewnętrzna wściekłość, dopilnuje, żebyśmy wszyscy zostali straceni — powolutku, za zdradę ideałów Erse i bluźnierstwo przeciwko Świętemu Patrykowi. – Potem prezydent dodał z czymś w rodzaju tęsknej dumy w głosie: – Wiecie, co Moira zaoferowała się, że zrobi? Powiedziała, że w college’u studiowała biologię, i że spróbuje rozwiązać dla nas problem dino. Czy nie jest kochana!

– Jeśli już zebraliśmy się tu razem – zauważył Minister Sprawiedliwości, – to może dla odmiany chociaż



raz spróbujemy wymyślić coś, co jest możliwe do wykonania.

– Potrzeby nam jest dobry shenanigan – nieszczęśliwym głosem zgodził się prezydent. – Ale co by to mogło być? Czy ktoś ma choćby cień jakiegoś pomysłu?

Gabinet rozpoczął debatę. Problem, oczywiście, polegał na tym, że kolonia Erse na Eire była bankrutem. Pierwsi koloniści zbudowali domy, zaorali ziemię, posiali rośliny uprawne — i napotkali dino. Duże, długie na pięćdziesiąt i sześćdziesiąt stóp, szybko się mnożące. Miały olbrzymie cielska, z niesamowitymi potężnymi szkieletami z kości, do tego wrzecionowate szyje, zakończone nieprawdopodobnie małymi główkami. Miały również długie, szpiczasto zakończone ogony, którymi potrafiły powalić człowieka, przewrócić ogrodzenie, albo narożnik domu, nawet zupełnie bezwiednie, jeżeli po prostu zdarzyło im się iść tą drogą. Nie były za bardzo inteligentne.

To, że dino wyjadały rosnące na polach uprawy, jeszcze było do wytrzymania, chociaż niewątpliwie stanowiło to spore utrapienie. Ale zwierzęta zjadały również same ogrodzenia z drutu kolczastego. Koloniści z początku czekali aż zdechną z niestrawności. One jednak ogrodzenia strawiły. Później, mając do wyboru całe stosy bardziej normalnych artykułów żywnościowych, przerzuciły się na dachy domów z żelaznej blachy falistej. Ponownie koloniści z żądzą zemsty oczekiwali na niestrawność. Przetrawiły także i dachy. Niebawem żarłoczne stworzenia zasmakowały w siekierach — ostrzach, nie trzonkach. Dalej zabrały się za pługi. Kiedy

zaczęły gromadzić się ocieżale wokół samochodów terenowych i zjadać je na lunch, koloniści nie mogli uwierzyć swoim własnym oczom. Była to jednak prawda.

Zęby dino nie były zbudowane ze zwykłego fosforanu wapnia, tak jak w przypadku innych zwierząt. Pewien chemik amator stwierdził, że były one z organicznie osadzonego karbidku boru, który jest twardszy od każdej innej substancji, poza krystaliczną formą węgla — diamentem. Faktycznie nawet, zęby dino, chociaż organiczne, wydawały się być szczególnie twardą odmianą karbidku boru. Dino były w stanie przeżuwać żelazo. Mogły nawet zjadać stal. Dino mogły rozdrabniać i przełykać wszystko poza stalą narzędziową, wzmocnianą odłamkami diamentu. Ten sam chemik amator odkrył, że zewnętrzne, powierzchniowe warstwy skorupy planety Eire wykazywały niedobór samego żelaza i jego związków. Dino potrzebowały więc żelaza. Teraz już je miały.

\*\*\*\*\*

Duże dino zostały odstraszone przez płonące pochodnie w rękach rozwścieczonych kolonistów. Kiedy przypieczono je dostatecznie dużą liczbę razy, nawet ich malutkie mózdzki w końcu pojęły, że nie są mile widziane. Przewalając się z nogi na nogę poszły sobie w siną dal.

Zostały jednak zastąpione przez mniejsze dino, o rozmiarach zbliżonych do kangurów. One również

najpierw wyjadały uprawy. Potem także zapragnęły żelaza. Stalowe kable były dla nich ekwiwalentem selera naciowego, a żelazne rury zjadały tak jakby to było spaghetti. Ich specjalnym celem były instalacje przemysłowe kolonii. Koloniści odpakowali broń. Zaczęli strzelać do dino. W końcu udało się im uszczuplić ich liczbę. Ale co najmniej raz w miesiącu musiano urządzać dzień polowania na dino, i cała ludność musiała brać udział w oczyszczaniu z nich okolic jedyne go miasta, Tary.

Wtedy jednak pojawiły się małe dino. Niektóre z nich były malutkie i nie przekraczały dwóch cali długości. Część była nieco większa. Wszystkie jednak wyglądały naprawdę słodko. Dzieci kolonistów chciały z nich zrobić zwierzątka domowe, dopóki nie odkryto, że miniaturowe to one może i są, ale nieszkodliwe, to z całą pewnością już nie. Malutkie ząbki dino, mniejsze niż główka szpilki, ciągle były zbudowane z autentycznego karbidku boru. Dino trzymane jako zwierzątka domowe, zwawo przegryzały się przez drewno i wyciągały gwoździe przy pomocy których zrobiono ich pudełka. Gwoździe potem zjadały.

Następnie, po uwolnieniu się, rozszerzały zakres swojej działalności. One oraz ich przyjaciele pracownicy kopały tunele pod domami kolonistów. Zjadały gwoździe. Zjadały śruby. Zjadały rygle, nakrętki, gwoździe z butów, scyzoryki, guziki od spodni, zamki błyskawiczne, druciane zszywki i gwoździki z obić i tapicerki. wyjadały nawet zrzynki i opiłki metalowe, robiąc wyraźne dziury w konstrukcjach i ruchomych częściach używanych na farmach traktorów.

Co gorsze, okazało się wkrótce, że ich liczebność utrzymywana była przedtem pod kontrolą, przez brak związków żelaza w ich zwykłej diecie. Ich brak prowadził do niskiej liczby urodzeń. Obecnie, po dostarczeniu przez ich niestrudzone zęby dużych ilości żelaza, ochoczo zajęły się cudem rozmnażania.

Przewodniczący Komitetu Dail do spraw Stanu Planety Eire, wyraził się o nich pogardliwie, porównując je do myszy. Dino były o wiele gorsze. Rząd planetarny potrzebował grajka, który by je wywabił, albo najlepiej dwu. Próbował jednak również innych rozwiązań. Zaimportowano koty. Potomstwo kotowatych z Ziemi, nawet przetrwało, ale wystarczyło spojrzeć na sfrustrowane, neurotyczne pyski kotów, aby wiedzieć, że poniosły porażkę. Rząd zakupił i ustawił pułapki. Dino zjadły ich sprężyny i inne metalowe części. Rząd zaoferował nagrody z martwe dino. Ale zasoby dino były niewyczerpane, a zasoby pieniędzy niestety nie. Musiano w końcu z tego zrezygnować.

Wtedy to w porcie kosmicznym Eire, wylądował pewien człowiek, kapitan Patrick Brannicut z Bostonu na Ziemi. Była to jego druga wizyta na tej planecie. Za pierwszym razem dowiedział się o kłopotcie. Za drugim przywiózł coś, co nadal wydawało się najlepszym jego rozwiązaniem. Sprowadził na planetę sto osiemdziesiąt dorosłych czarnych węży, dwa tysiące młodych, tego samego gatunku i dwie skrzynie z miękkimi, łuskowatymi jajami, z których wylęgną się, jak gwarantował, również zwierzęta tego samego rodzaju. Dostał za to całą gotówkę, jaka była dostępna na planecie. Rząd jednak był zdesperowany.

Wężę zaczęły ścigać dino z gorącym entuzjazmem. Rzuciły się do polowania na nie, na oczach całej przyglądającej się publiczności. Leżały czekając na pojawienie się dino, publicznie pożerały dino, wpełzały do każdej nawet najmniejszej dziury w ziemi, z której wyrzwał dino lub do której uciekał. Były dużo lepsze od pułapek. Nie musiano ich ustawiać, ani opróżniać. Nie potrzebowały zakładania przynęty. Były rozwiązaniem samo-utrzymującym się i nawet samo-rozmnażającym — poza tym jednym faktem, że wężę przekarmione stawały się mniej romantyczne niż wtedy, kiedy były głodne. Po dziesięciu latach rozpowszechniła się opowieść — zainspirowana przez Ministerstwo Informacji — której sens sprowadzał się generalnie do tego, że to Święty Patryk sprowadził wężę na Eire, i oczywiście już się stało, że nawet jeśli one nie wyniszczyły dino, to z całą pewnością powstrzymały dino przed wyniszczeniem kolonii. A nadzieja, że Eire przekształci się kiedyś w nowe wspaniałe centrum kultury i tradycji Erse — włączając w to szacunek dla Świętego Patryka — związana była z wiarą, że pewnego dnia wężę uzyskają trwałą przewagę.

W pobliżu potu kosmicznego stał przywieziony na planetę pomnik Świętego Patryka. Prezentował go, jak wskazuje na coś swoją biskupią laską, spoglądając w dół na grupę węży znajdujących się w pobliżu jego stóp. Rzeźbiarz zamierzał sportretować Świętego Patryka, nakazującego węzom, aby wnosiły się do diabła z Eire. Ale na Eire tradycyjnie uznawano, że przedstawia Świętego Patryka mówiącego węzom, by rosły i rozmnażały się.

Nikt jednak nawet nie ośmielił się powiedzieć tego Seanowi O'Donohue! W pewnym sensie, była to już zamierzchła historia, ale bezsprzecznie był to też ciągle fakt aktualny. W dniu alarmowego spotkania gabinetu, przekształcił się on również w fakt budzący przerażenie. Bez węży planeta Eire nie mogłaby być zamieszkiwana przez ludzi, z powodu małych dino. Tylko że Republika Eire na Ziemi z oburzeniem pozbyłaby się każdej kolonii, na której żyłyby węże. A kolonia nie była jeszcze gotowa na przejście na samowystarczalność. Gabinet ponuro debatował nad tą kwestią. Byli zbyt zniechęceni, aby móc zrobić coś więcej poza debatowaniem. Na szczęście Moira — kochana — zajęła się prowadzeniem badań.

Były to typowe badania świeżego absolwenta po laboratorium biologicznym w college'u. To nie obiecywało zbyt wiele, sama o tym dobrze wiedziała. Dawało jej to jednak wymówkę, by mogła z niepokojem i nadzieją w sercu rozmawiać z prezydentem, kiedy zabrał Komitet Dail na Wyspę McGillicuddy'ego, aby obejrzeć żyjące tam wielkie dino, podczas gdy cała ludność ponownie próbowała zabrać gdzieś z widoku wszystkie węże.

\*\*\*\*\*

Większa część wyspy rozciągała się o dwie mile od kontynentu, nazwanego na pamiątkę Hrabstwa Kerry na Ziemi. W jednym jej punkcie odległość tę znacznie zmniejszał wystający cypel, i dlatego kiedyś zbudowano

tam groblę, którą prowadziła droga. Zbudowano ją z dużym trudem, i z równie dużym trudem zniszczono.

Prezydent opowiadał o tym, podczas rejsu łodzią, która przewiozła członków komitetu na wyspę.

– Duże dino – mówił ze smutkiem, – rozdeptywały płoty i domy, zjadały dachy i traktory. Nie można było na to pozwolić. Odpędzaliśmy je przy pomocy ognia, ale wkrótce ponownie wracały. Można było je również zabijać, ale co potem zrobić z tyloma tonami padliny? Trzeba pamiętać, że dorosłe samce osiągały sześćdziesiąt stóp długości, a najmniejsze niedojrzałe samice dobiegały czterdziestu. Nie uwierzyliby państwo jak duże były wykluwające się młode! One były naprawdę poważnym wyzwaniem, w pierwszym okresie istnienia kolonii.

Sean O'Donohue parsknął. Cały się najeżył. Wraz z pozostałymi dwoma członkami komitetu, został wyciągnięty z miasta Tara. Podejrzewał, że za jego plecami dzieją się jakieś shenanigans. Tak zresztą właśnie było. Jego współpracownicy wyglądali na wczorajszych. Koloniści potraktowali ich bardzo serdecznie, a oni nie byli tak zapalonymi przywódcami ludu Erse, jak O'Donohue. Jeden z nich był właścicielem stoczni, drugi producentem maszyn precyzyjnych, i zostali wybrani do Dail bez żadnych specjalnych powodów. Przybyli na ten piknik, w dużej mierze po to by oderwać się trochę od swoich codziennych kłopotów i rodzin. Braki w narzędziach precyzyjnych, były kłopotem dla nich obu, ale udało im się całkowicie o nich zapomnieć.

– Zbudowaliśmy więc groblę z drogą – wyjaśniał dalej prezydent O'Hanrahan. – Spędziliśmy potem i otoczyliśmy wszystkie wielkie bestie, jakie udało nam się

znaleźć — poganiając je przy pomocy ognia — zagoniliśmy je tutaj, a potem zniszczyliśmy groblę. Tak więc siedzą teraz na Wyspie McGillicuddy’ego. Na szczęście nie potrafią pływać.

Łódź dotknęła w końcu lądu — skaliste, mało zachęcające wybrzeże. Główny doradca prawny i minister skarbu zeskoczyli na brzeg. Pomogli członkom komitetu wydostać się z łódki. Ruszyli dalej. Prezydent chciał pójść za nimi, ale Moira zatrzymała go, mówiąc z niepokojem:

– Zaczekaj chwilę. Mam ci coś do powiedzenia. Ja... powiedziałałam, że muszę przeprowadzić parę eksperymentów na dino. Wykonałam je. I czegoś się dowiedziałam.

– Już to zrobiłaś? – zapytał prezydent. Ton jego głosu jednocześnie był pełen podziwu i desperacji. – Jesteś naprawdę kochana, Moira, ale...

– Zastanawiałam się... Zastawiałam się w jaki sposób one potrafią znaleźć żelazo – powiedziała Moira pocieszająco, – i dowiedziałam się tego. Potrafią wyczuć jego zapach.

– Tak, naprawdę to umieją? – stwierdził prezydent z czułością i szacunkiem. – Muszę ci jednak powiedzieć, Moiro, że...

– I potrafię to udowodnić! – rzuciła, spoglądając badawczo w jego twarz. – Jeżeli zmieniasz bodziec i okaz reaguje, to znaczy, że jego reakcja jest również możliwa do zmiany. A więc stworzyłam metal o silniejszym zapachu.

Prezydent O’Hanrahan zamrugał w jej stronę oczyma.

– Po prostu... podgrzałam go – wyjaśniła Moira. – Wiesz przecież jaki intensywny zapach ma gorący metal.



Rozgrzałem stalową szpilkę i natychmiast ze wszystkich dziur w ścianie zaczęły wylać dino. Zapach je przyciągnął. To naprawdę było zadziwiające.

Prezydent spoglądał na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

– To jest... To wszystko co miałam czas wypróbować – broniła się Moira. – To było wczoraj popołudniu. Potem był ten oficjalny obiad. Musiałem na niego pójść. Pamiętasz! A więc zamknąłem dino...

– Kochana Moiro – delikatnie powiedział prezydent O’Hanrahan, – Nie da się zamknąć dino. Przegryzają się nawet przez stalowe sejfy. Drażą tunele i gniazda w prądnicach elektrycznych. Nie uda ci się zamknąć dino, kochanie.

– Ale ja to zrobiłam! – upierała się przy swoim. – Zresztą ciągle siedzą zamknięte pod kluczem. Zaglądałam do niech tuż przed rozpoczęciem naszej wyprawy.

Prezydent spoglądał na nią bardzo nieszczęśliwym wzrokiem.

– Moiro, między nami nie miejsca na shenanigans! – Potem powiedział: – Czy nie zaszła tu czasami jakaś pomyłka? Trzymać w zamknięciu dino, to tak jakby próbować umieścić światło księżyca w butelce, albo opisać kolor oczu Moiry O’Donohue, albo... – Przerwał na chwilę. – Jak to zrobiłaś?

– Tak samo jak zwykle trzyma się różne okazy – odpowiedziała mu. – Kiedy byłam w college’u przeprowadzaliśmy eksperymenty na żabach. One są zmiennocieplne tak samo jak dino. Gdyby pozwoliło im się poruszać, to same by się poraniły, próbując uciec. A więc wkłada się je do lodówki. W pojemnik na warzywa.

Nie zamarną tam, ale stają się... zapadają w letarg i drętwieją. Po prostu tylko leżą bez ruchu, zanim ponownie się ich nie ogrzeje. Do temperatury pokojowej.

Prezydent planety Eire gapił się na nią zbaraniałym wzrokiem. Szczeka opadła mu na dół. Tylko mrugnął oczyma, ponownie, i jeszcze raz. Potem tryumfalnie wrzasnął. Skoczył do przodu i złapał Moirę w ramiona. Wycałował ją gruntownie.

– Kochana! – powiedział załamującym się głosem. – Nie wychodź stąd, popłyniemy tą łodzią z powrotem na kontynent! Muszę natychmiast wracać do Tary! Zrobiłaś to, moja kochana, zrobiłaś to, i to jest wielki dzień dla Irlandczyków! To jest nawet wielki dzień dla Erse! Dzień twoich urodzin będzie świętem na tej planecie, jeszcze długo po naszym ślubie, nawet wtedy gdy nasze wnuki będą już myślały, że ja byłem równie dużym utrapieniem jak twój dziadek Sean O’Donohue! Będziemy mieli piękny, wielki ślub...

Znowu ją pocałował, zawrócił łodzią i w bryzgach wody ruszył w kierunku stałego lądu. Od czasu do czasu pokrzykiwał z radości. Ale znacznie częściej ochoczo ścisnął Moirę. Ona sama usiłowała przybrać wygląd mocno zakłopotanej, zdecydowanie jednak raczej wyglądała na bardzo zadowoloną.

\*\*\*\*\*

Pozostawiony za ich plecami, Komitet Dail do spraw Stanu Planety Eire, badał Wyspę McGillicuddy’ego.

Obejrżeli wiele dużych dino — sześćdziesięciostopowych, pięćdziesięciostopowych — i do tego całą chmarę pomniejszych. Dino przechadzały się dostojnym krokiem po całej wyspie, bez żadnego widocznego celu. Od czasu do czasu wyciągały w górę długie zwężające się szyje z pokraccie małymi główkami, by odłamywać liście, kropka w kropkę podobne do liści palmowych. Również od czasu do czasu, bez widocznego entuzjazmu, któryś z nich bełtał zawartość różnych pokrytych zielonym kożuchem zbiorników wodnych, najwidoczniej wydobywając z nich jakiś rodzaj pożywienia. Wydawały się nie okazywać żadnych intelektualnych zachowań. Kompletnie nie wykazały też żadnego zainteresowania odwiedzającymi, chociaż jeden z członków komitetu — ale nie dziadek Moiry — lekko zadrżał.

— Śniłem o nich — powiedział żałośnie, — ale nawet kiedy byłem we śnie, nie mogłem w nie uwierzyć!

Dwa młode dino — nie mogły ważyć więcej niż kilka ton każdy — zaangażowały się w powolny konflikt. Obdarzały się nawzajem uderzeniami, które bez trudu powaliłyby słonia. Tak naprawdę, nie były jednak specjalnie zainteresowane walką. Jeden z nich w końcu usiadł i wyglądał na potwornie znudzonego. Drugi zrobił to samo. Wkrótce, z refleksją, zajął się przeżuwaniem kawałka białawej skały. Odgłosy kruszonej skały były wręcz trudne do zniesienia. W końcu dino uwalił się na ziemi. Postanowił chwilę się zdrzemnąć. Jego zęby wycięły w kamieniu głębokie, zakrzywione bruzdy. Producent maszyn precyzyjnych — na Ziemi — lekko zbladł.

– L...lepiej się stąd wynośmy!

Komitet i dwaj członkowie gabinetu powrócili na brzeg. Ale łodzi już tam nie było. Znajdowała się daleko stąd, kierując się w stronę głównego lądu.

– Shenanigans! – oznajmił Sean O’Donohue głosem, który zważyłby nawet kwas siarkowy. – Ostrzegalem go przecież, żadnych shenanigans! Mały śmierdzący skunks, zostawił nas tutaj, żeby pożarły nas dzikie bestie!

Główny doradca prawny odparł porywczo:

– Proszę się trochę pohamować, proszę pana! Jesteśmy jego przyjaciółmi i przyплыliśmy tutaj tą samą łodzią. Musiało stać się coś bardzo ważnego...

Nie brzmiało to jednak zbyt przekonująco. A zwłaszcza nieprzekonywująco argument ten zaczął wyglądać później, gdy jakaś bardzo opóźniona percepcja, po pewnym czasie, wyzwoliła w malutkich mózgach dino, reakcję na ich obecność. Zdołały w końcu uświadomić sobie obecność odwiedzających. Zaczęły, w swój specyficzny sposób, jak na zwolnionym filmie, coraz bardziej się nimi interesować. Powoli, ociężale, jakby w odrętwieniu, zgromadziły się w ich pobliżu — ekwiwalent stada kilkuset słoni, ubarwionych wszystkimi kolorami tęczy, z malutkimi główkami o żalonym, ale upartym wyrazie pyska. Długie szyje zaczęły z nadzieją wyciągać się w ich stronę.

– Do diabła – z rozdrażnieniem powiedział minister skarbu. – Tak sobie myślę. W naszych butach, sprężynach naszych zegarków, a może również w scyzorykach, które niektórzy z nas mają w kieszeni, jest żelazo. Dino są złałnione żelaza, i usilnie go poszukują. Zjedzą dosłownie wszystko co im wpadnie w łapy i co ma w

sobie choćby najmniejszy posmak żelaza. Oczywiście, taka jest ich natura, ale lepiej weźmy jakieś kamienie i zacznijmy je odganiać, do czasu aż łódź nie przyplynie z powrotem. Albo jeszcze lepiej, znajdziemy jakieś mocne kije, abyśmy mieli czym walić je po głowach. Panowie, nie pozwólcie im tylko przedostać się nam za plecy!

– No to razem! – ryknął mściwie głos doradcy prawnego. – Brać to! Walić mocno! Spróbujcie tylko ruszyć swoje tłuste zady, żeby zrabować coś z kieszeni spodni tych dżentelmenów, to przekonacie się jak to smakuje.

Łup! Mała główka odskoczyła z rykiem bólu. Ale już kolejny wyciągał z nadzieją łeb do przodu, i jeszcze jeden. Dino nie były specjalnie pojętne. Kiedy łódź przyplynęła z powrotem, trzech członkowie komitetu i dwaj ministrowie rządu, stali już po uda w wodzie. Nadal walili dzielnie w napastliwe łby dino, jednak z widocznym już zmęczeniem. Mimo upływu czasu niestety nie było widać najmniejszego postępu w krzewieniu idei, że dino powinny pójść sobie precz.

Przybyli z kontynentu ludzie wciągnęli ich po kolei do łodzi. Przyznali, że prezydent wrócił do Tary. Sean O'Donohue doszedł do wniosku, że wrócił, by nadzorować jakieś shenanigans. Faktycznie zresztą można tak było powiedzieć. Po drodze na główny ład Sean O'Donohue wręcz zgrzytał ze złości zębami. Po przybyciu pomocy, dowiedział się, że prezydent zabrał ze sobą Moirę. Zazgrzytał ponownie zębami.

– Shenanigans! – zaczął wywrzaskiwać ochryłym głosem. – Natychmiast za nim! – Aż tupał nogami ze złości. Jego furia budziła wręcz przerażenie. Kiedy

kierowcy samochodów terenowych wyruszyli w powrotną drogę do Tary, Sean O'Donohue był chodzącym małym, zażartym wcieleniem nagłej śmierci i destrukcji, jedynie chwilowo trzymanej nadal na smyczy.

Podczas podróży powrotnej, nawet jego koledzy z komitetu byli w fatalnym nastroju. Jednak jeden z nich nieustannie wyciągał z kieszeni mały kawałek białawej skały, przyglądając mu się z niedowierzaniem. Sam kamień nie był może jakoś specjalnie interesujący. Ot, po prostu zwykły mleczny krzemień. Widoczne były jednak na nim ślady zębów. Jakiś dino, musiał wgryźć się w niego, z taką łatwością, jakby to był kawałek miękkiego sera.

\*\*\*\*\*

Kiedy terenówki wiozące członków komitetu zbliżyły się do Tary, do oficjeli doleciały z oddali słabe odgłosy wiwatów i owacji. Dla ludzi jadących w pojazdach, wręcz niewiarygodnym wydawało się, by ktoś ośmielił okazywać radość w odległości mniejszej niż dwa lata świetlne od Seana O'Donohue, przynajmniej w takim stanie ducha w jakim był obecnie. Owacje jednak trwały nadal. Ba, kiedy samochody wjechały w miejską ulicę, przy której domy stały już obok siebie, wiwaty zaczęły stawać się coraz głośniejsze. Wtedy również zaszło pewne zdarzenie, które jeszcze bardziej wzburzyło przewodniczącego Komitetu Dail.

Samochody zwolniły, ponieważ chodnik był w kiepskim stanie, żeby nie powiedzieć, że go niemal w ogóle nie było. Wzdłuż drogi rzędem rosły drzewa. Jedna z wiszących gałęzi znalazła się w odległości dwóch jardów od dziadka Moiry. Zwieszało się z niej coś na kształt wspaniałej draperii. Był to czarny wąż. Na Eire! Sean O'Donohue nie mógł go nie zauważyć. Wąż za to kompletnie go zignorował. Wisiał sobie wygodnie na drzewie i z wielkim zainteresowaniem spoglądał w stronę, z której dochodziły odgłosy entuzjazmu.

Śmiertelna bladość twarzy Seana O'Donohue przeszła w bladą lawendę. Zobaczył kolejnego czarnego węża. Ten z kolei wspinał się po pniu drzewa, z taką energią i zdecydowaniem, jak gdyby zamierzał się przypatrzeć się odległemu zgromadzeniu. Terenówki jechały dalej i w pewnej chwili kierowca prowadzącego wozu zбочzył automatycznie, by ominąć dwa czarne węże, towarzysko sunące razem w kierunku odgłosów radości. Jeden z nich uprzejmie ustąpił nieco miejsca przejeżdżającym samochodom, ale nie poświęcił im najmniejszej uwagi. Sean O'Donohue zmienił kolor na purpurowy.

Kolejny wybuch owacji. Przewodniczący Komitetu Dail prawie, ale na szczęście nie całkiem, eksplodował jak bomba jądrowa. Droga przed nimi była zablokowana przez ludzi, stojących ciasnymi rzędami wzdłuż poprzecznej ulicy. Samochody trąbiły, ale nikt nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Sztywnymi, chwiejnymi krokami Sean O'Donohue wysiadł, z zatrzymanego siłą samochodu. Wydawało się wcześniej, że nie da się go już bardziej rozwścieczyć, ale jednak okazało się, iż jest to możliwe. W odległości dziesięciu

stóp od niego, chodnikiem sunęła samica czarnego węża, z taką pewnością siebie i nieskazitelną dystynkcją, jakby była właścicielką całego worka pieniędzy.

Sean O'Donohue złapał głęboki oddech. W tym momencie jego twarz była już wręcz ciemno-purpurowa. Na ślepo pomaszerował przez tłum stojących przed nim ludzi. Mieszkańcy Tary jakoś zdołali zrobić mu miejsce. Ale wokół niego, po bokach poprzecznej ulicy panował niesamowity tłok. Ze domów wyszli nie tylko wszyscy ludzie, stojąc i czekając na kolejną turę owacji, ale także drzewa były całkowicie zajęte. Przez czarne węża. Wisiały gustomnie udrapowane pomiędzy gałęziami, czasami w grupach, po dwa, trzy. Z olbrzymim zainteresowaniem przyglądały się roztaczającej się pod nimi scenerii. Główny doradca prawny, podążający za Seanem O'Donohue zauważył czarnego węża zręcznie wijącego się pomiędzy nogami stłoczonych ludzi — stłoczonych jak gdyby mieli oglądać jakąś paradę — aby dostać się do wysokiego murku, dającego lepszy widok. Za głównym doradcą prawnym szedł zaniepokojony minister skarbu.

Sean O'Donohue przebił się przez szeregi widzów. Dumnie wkroczył na pusty środek ulicy. Nawet nie rozglądał się na boki. Zmierzał prosto w stronę rezydencji prezydenta, aby dopaść O'Hanrahana i udusić go, najlepiej powolutku, w taki sposób by delikwent jak najdłużej pozostał przy życiu.

Jednakże, dokładnie w tej samej chwili rozległ się tak potężny ryk radości, że przebił się on nawet do jego nastawionego jednotorowo, ogarniętego morderczą obsesją mózgu. Odwrócił się, z purpurową twarzą,



gotowy eksplodować kolejnym wybuchem wściekłości, żeby zobaczyć co ten nieprzyzwoity dźwięk może oznaczać.

Zobaczył. Ulicą w jego stronę zmierzała pełnym biegiem, szczupła, żeby nie powiedzieć nawet wychudzona, postać prezesa sądu najwyższego planety Eire. Trzymał on w ręku dużą płytę zrobioną z arkusza żelaznej blachy.

Nie zwalniając tempa biegu, przejechał po niej niebieskim płomieniem spawarki. Wokół niego rozchodził się intensywny swąd gorącego metalu. Przewodniczący sądu mknął jak ranny jeleń. Postawiał za sobą tylko metaliczny zapach. Ale za nim, nieomal tuż za jego plecami, podążało coś jeszcze.

Wielobarwna, tłumna fala, rojących się dino, wypełniała szeroką aleję od krawężnika do krawężnika. Za biegnącym człowiekiem płynęła wręcz rzeka dino, od dwucalowych karzełek, do ubarwionych w purpurowe paski osobników, wyrosniętych do ośmiu cali, potrafiących nawet czasami pokonać kota. Pędziły, ścigając prezesa sądu, roznamiętnione, wręcz wprowadzone w trans, przez zapach arkusza gorącej blachy. Były całkowicie nim zafascynowane. Oszołomione. Nie były świadome zupełnie niczego, poza tym niewypowiedzianym rozkosznym aromatem. Biegły, skakały, podskakiwały, kłusowały i galopowały, z ciągłym skrzeczeniem, podążając za prezesem sądu najwyższego planety.

Ten zaś niemal wpadł na zdeorientowanego Seana O'Donohue. Kiedy go mijał krzyczał:

– Uciekaj stąd, człowieku! Dino tu biegną, hur-ra, hur-ra!

Sean O'Donohue nawet nie drgnął. W tym krytycznym momencie nadal był kompletnie zafiksowany, jakby z klapkami na oczach, z umysłem ogarniętym tylko jedną idee-fix. Potem dotarły do niego dino. Po prostu na niego wbiegły. Był tylko przeszkodą na ich drodze. Skakały jedno przez drugie aby ją pokonać. Przewrócił się i po chwili stał się jedynie pagórkem w płynącej rzece mieniących się pryzmatycznych barw, podążających za uciekającym prezesem sądu.

Wszystko ma jednak swój koniec. Rzeka dino nie była pierwszym tego typu wydarzeniem w dniu dzisiejszym w Tarze. Tym razem dino wypełniły tylko niewielki kwartał ulicy. Wkrótce przewaliły się nad nim i pogoniły dalej, a Seanowi O'Donohue udało się unieść się do pozycji siedzącej.

Jego buty były w strzępach. Dino błyskawicznie je rozszarpały, aby wyrwać znajdujące się w nich gwoździe. Pasek zniknął zupełnie. Dino popracowały również nad spodniami, wyciągając i odgryzając wszystkie metalowe elementy. Kieszenie były całe porozrywane. Jasne metalowe guziki płaszcza także znalazły swoje miejsce w gardłach dino. Zamków błyskawicznych również nie było. Szelki luźno zwisały po zniknięciu guzików spodni do których były przypięte, także pozbawione wszystkich spajających je razem elementów metalowych. O'Donohue był w stanie jedynie otworzyć usta, zamknąć je, a następnie otworzyć ponownie, i znowu je zamknąć. Wyraz jego twarzy przypominał człowieka ogarniętego delirium.

W dodatku, zanim minister skarbu i główny doradca prawny zdążyli delikatnie go podnieść i odprowadzić na bok, O'Donohue przydarzyła się ostateczna katastrofa. Węże, które oglądały wydarzenia na ulicy z okolicznych murków, jak również te, które z zainteresowaniem im się przypatrywały wisząc na drzewach, teraz zaczęły sobie uświadamiać, że było to wydarzenie, które dotyczyło także i ich. Wypełzły na środek i zaczęły podążać za niknącą już w oddali procesją, podobnie jak małe pieski i mali chłopcy ścigają paradę cyrkową. Wydawało się jakby z niepokojem mówiły coś do siebie nawzajem, dostojnie przepływając po Seanie O'Donohue, siedzącym w kurzu ulicy, podczas gdy rozwiewały się jego wszelkie złudzenia i rozpadały w gruzy żywione przez niego nadzieje.

Mieszkańcy Tary jednak nawet tego nie zauważyli. Wiwatowali gromko, ochryplymi od krzyków głosami.

\*\*\*\*\*

Prezydent O'Hanrahan stał z godnością w podniszczonej sali przyjęć swojej rezydencji. Moira wpatrywała się w niego z wyraźną dumą. Dwóch nadal aktywnych członków Komitetu Dail nieswojo rozglądało się dookoła. Zebrał się również gabinet Eire.

– Naprawdę jest mi przykro, bardzo przykro – oznajmił Prezydent Eire, – że byliśmy zmuszeni rzucić wyzwanie rządowi Eire na Ziemi, któremu jesteśmy winni tak wiele. Nie mieliśmy jednak innego wyjścia.

Musieliśmy sprowadzić te czarne stworzenia, aby powstrzymać dino przez zjedzeniem nas, razem z naszymi domami i budynkami. To była rozpaczliwa bitwa na ostatniej linii oporu i po prostu ich potrzebowaliśmy. Z czasem, dzięki ich pomocy, byśmy wygrali, ale właśnie czasu już nie mieliśmy. Dzisiejszego ranka Moira powiedziała mi, co zrobiła wczoraj. Moja ukochana użyła mózgu, który dał jej Bóg, a być może i Święty Patryk szepnął jej coś do ucha. Stwierdziła, że dino muszą znajdować metal, kierując się jego zapachem, a jeżeli ten zapach zostałby zintensyfikowany poprzez zwykłe podgrzanie metalu, to byłyby zupełnie niezdolne, aby się mu oprzeć. I rzeczywiście tak jest. Widzieliście prezesa sądu najwyższego, biegnącego ulicą, z całą hordą dino depczących mu po plecach.

Dwaj członkowie komitetu przytakująco skinęli głowami.

– Zwabił je – mówił dalej prezydent, – do olbrzymiej chłodni, która, jak mi to zarzucił Sean O’Donohue, była zupełnie pusta, ponieważ wszystkie zapasy żywności musieliśmy zjeść z powodu dino. I nie ma żadnego znaczenia, że nadal jest pusta. Od dzisiaj możemy zdobyć żywność uprawiając nasze pola, ponieważ pomieszczenia chłodnicze wypełnione są po brzegi dino, które bezrozumnie znalazły się w środowisku, do którego nie są przyzwyczajone i zapadły... Moira, kochanie, jak to się nazywa?

– W letarg – odpowiedziała Moira, wpatrzona w niego jak w obrazek.

– W letarg – zgodził się prezydent. – Od dzisiaj, jeśli w okolicy zbierze się za dużo dino, po prostu wyślemy

kogoś, żeby pobiegł się ulicami z gorącą metalową płytą i zwabił je do chłodni. Mamy już swoich flecistów wywabiających szczury, pomagających czarnym stworzeniom, które tak wiele dla nas zrobiły. Jeżeli obraziliśmy Eire na Ziemi, poprzez sprowadzenie czarnych węży, to jest nam przykro. Ale ta pomoc była niezbędna — dopóki Moira i niewątpliwie Święty Patryk nie znaleźli dla nas rozwiązania, które mieliście dzisiaj okazję zobaczyć. Jeżeli wyrzekniecie się nas, trudno, zdołamy jakoś wytrzymać! Teraz będziemy już w stanie się wyżywić. Damy radę nawet wykarmić parę dodatkowych gąb. Zawsze znajdą się jakieś statki, które od czasu do czasu będą do nas wpadały, nawet z ciekawości, a my będziemy z nimi handlować. Jeżeli się nas wyrzekniecie, będziemy klepać biedę. Ale czy Irlandczycy kiedykolwiek byli bogaci?

Członek komitetu, producent mechanizmów precyzyjnych, otarł czoło z potu.

– Jesteście bogaci już teraz – oświadczył z rezygnacją.

– Powinien pan się tego dowiedzieć. Czy wie pan z czego zrobione są zęby dino?

– Powiedziano mi – odparł Prezydent O’Hanrahan, – że to jest kar... karbidek boru w formie organicznej. Co to znaczy, nie mam zielonego pojęcia, ale mamy tego całą masę!

– To najtwardsza substancja nie licząc diamentu – ponurym tonem stwierdził członek komitetu. Zaryzykowałbym nawet przypuszczenie, że organiczna forma może być od niego twardsza. Używa się go jako surowca do produkcji elementów tokarek i obrabiarek precyzyjnych, i jego cena zbliża się do ceny diamentów

przemysłowych — i proponuję panu umowę na zakup każdej ilości jaką macie. Jeśli nie będzie potrzebować tego Ziemia, kupią inne planety. Jesteście bogaci.

Prezydent stał z wytrzeszczonymi oczyma. Potem spojrzął na Moirę.

– Szkoda, że zostaniemy wydziedziczeni – rzekł z żalem w głosie. – Piękną rzeczą byłoby powiedzieć dziadkowi, że Eire jest bogata i może wykarmić więcej kolonistów, a możliwe, że nawet spłacić część nakładów, które dotąd pozwalały nam się tutaj utrzymać. Również piękną rzeczą byłoby, gdybyśmy płacili kolonistom za budowę domów, które dostaliby za darmo po ich ukończeniu. Ale ponieważ Sean O’Donohue jest takim surowym człowiekiem...

Właściciel stoczni podrapał się w głowę. Po drodze do rezydencji prezydenta, zatrzymał się tu i ówdzie. Stosował pewne środki wzmacniające na swoje strapienia. Spoglądał do wnętrza butelki i widział w niej pewne fakty.

– Powiem tak – wyznał ciepło. – To O’Donohue przez cały czas walczył o utrzymanie kolonii, przeciw politykom, którzy chcieli wprowadzić oszczędności. Zrobił karierę na wierze w ten świat. Jeśli osadnictwo zostanie wstrzymane, będzie zrujnowany. A więc, być może przy odrobinie pochlebstwa — biorąc pod uwagę jego desperackie dążenie do znalezienia sposobu na to, byśmy pozostali w przyjaznych stosunkach — czarne stworzenia, czy nie czarne stworzenia...

Prezydent wziął Moirę za rękę.

– Chodźmy, kochanie – powiedział ze smutkiem. – Spróbujemy go przekonać.

\*\*\*\*\*

Przez długie, długie minuty tylko kręcił głową, podczas gdy Sean O'Donohue wręcz szalał nad nim.

– Nawet nie chcę pana widzieć na oczy! – wykrzykiwał Sean O'Donohue głosem, który był samą kwintesencją goryczy. – I Moiry też, jeśli nadal pragnie mieć z panem do czynienia! Nie życzę sobie mieć nic wspólnego z shenanigannin' reneгатami i bluźniercami, którzy sprowadzili węże na świat od pradawnych czasów przeznaczony przez Świętego Patryka dla Erse!

W pokoju starego człowieka było ciemno. Pod wszystkimi swoimi osłonami, był tylko małym, patetycznym człowieczkiem. Krańcowo wyzywającym. Nieprzejednanym ponad wszelkie wyobrażenie.

– Renegaci! – oznajmił z oburzeniem O'Hanrahan. – Węże, powiedział pan? Diabelskie węże, które są na Eire! Przyznaję, że mamy pewne oswojone czarne stworzenia, które przy kiepskim oświeceniu i pewnym pańskim uprzedzeniu, mogły spowodować pańską pomyłkę. Ale węże? Równie dobrze mógłby pan nazwać dino jaszczurkami. Dino, które są tym samym co w Irlandii rodzime jeżozwierze — co byłoby obrazą dla jaszczurek.

Od strony łóżka zaległa zdumiona cisza.

– To tylko kwestia terminologii – wyjaśnił surowo prezydent. – Ale przecież to nie nazwa decyduje o istocie danej rzeczy, ale to do czego jest ona przeznaczona! *Actio sequitur esse*, jak mówi znane

przysłowie. Nie może pan temu zaprzeczyć! Spójrzmy na dino. Krąży wokół domu człowieka, zjada jego pożywienie oraz jego narzędzia, i dopóki jest żywy nie ma z niego dla nikogo żadnego pożytku. Czy to jest sposób funkcjonowania jaszczurki? Nie, nie jest! Wiadomo jednak, że koło domów ludzi kręczą się jeżozwierze, zjadając trzonki ich narzędzi z powodu zawartej w nich soli, ignorując biednego człowieka, którego pot zawierający sól wsiąknął w nie podczas pracy, kiedy starał się zarobić na utrzymanie rodziny. A kiedy jakaś rzecz zachowuje się jak jeżozwierz, to jest po prostu jeżozwierzem i niczym innym! A więc dino jest jeżozwierzem z Eire, rodzimym dla tej planety, i żaden człowiek nie może temu zaprzeczyć!

– A więc, w takim przypadku, czymże jest wąż? – retorycznie zapytał prezydent O’Hanrahan. – To stworzenie, które pełza po ziemi i zatruwa swym ukąszeniem, kiedy nie kusi pochlebstwami niemądrych kobiet, aby skosztowały jabłka. Czy nasze czarne stworzenia robią cokolwiek w tym stylu? Nie, nie robią! W sposób jawny i otwarty zajmują się swoimi sprawami, schodząc wszystkim z drogi i pozdrawiając każdego, kogo spotkają. Są pracowite i spokojne. Pilnują swoich własnych spraw, polegających na zabijaniu jeżozwierzów z Eire, które nieprecyzyjnie określamy jako dino. To ich praca! Czy kiedykolwiek słyszał pan o wężu posiadającym pracę? Nigdy nie zgodzę się, aby ktokolwiek mówił, że na Eire są węże! I jeżeli ośmieli się pan nadać takie miano uczciwym, przyjaznym, pracowitym zjadaczom jeżozwierzów z Eire, które umożliwiły przetrwanie kolonii aż do tej chwili, to ja



określę pana jako pozbawionego sumienia polityka!  
Nigdy się na to nie zgodzę!

Zapanowała długa cisza. Potem sucho przemówił Sean O'Donohue:

– Mówi pan, zjadacze jeżozwierzy? Nie węże?

– Nie węże! – wyzywającym tonem powtórzył prezydent. – Zjadacze jeżozwierzy!

– Hmm... – zamyślił się Sean O'Donohue. – Tak już lepiej. Parę pochlebstw i Dail nie będzie się opierał, żeby to zaakceptować — a Eire na Ziemi bardzo potrzebuje przestrzeni życiowej, która, jak pan powiedział, od teraz będzie tutaj dostępna. Proszę mi tylko powiedzieć, dlaczego Moira stoi tak blisko pana?

– Dlatego, że mamy zamiar się pobrać – pewnym tonem oznajmił prezydent O'Hanrahan.

Głos Seana O'Donohue zabrzmiał niemal tak zjadliwie jak zawsze:

– Ale ja absolutnie tego zabraniam – oznajmił ostro. – A przynajmniej do chwili, kiedy nie stanę na nogi, i nie będę mógł osobiście oddać panu jej ręki podczas ślubu, tak jak to powinien zrobić dziadek! Poczekacie te kilka dni, dopóki nie będę w stanie tego zrobić! Zrozumiano!

– Tak jest, proszę pana – powiedział prezydent. Cisza wydawała się wręcz dzwonić w uszach.

– No to, do roboty – warknął Sean O'Donohue. Potem surowo dodał: – I proszę pamiętać — żadnych shenanigans!

\*\*\*\*\*

Główny doradca prawny przyglądał się jak odjeżdżają w swoją podróż poślubną do domku w Ballyhanninch, na Półwyspie Donegal, wcinającym się w Morze Emmetta. Machał im ręką na pożegnanie, podobnie jak reszta zebranych ludzi. Kiedy jednak zniknęli już z oczu, ponuro powiedział do przewodniczącego sądu i ministra skarbu:

– Nie miałem serca, aby wyciągać to wcześniej, ale jest w tym wszystkim pewien diabelnie skomplikowany problem, nad którym musimy zastanowić się, zanim wrócą.

– Jaki znowu problem – ostrożnie zapytał minister skarbu.

– A z wę... zabójcami jeżozwierzy – wyjaśnił główny doradca prawny. – Sprawy kiepsko dla nich wyglądają. Są bezrobotne. Nawet Timothy. Nie ma już żadnych dino, tak by można powiedzieć o nich, że żyją z zabijania jeżozwierzy. To bezrobocie strukturalne. Zarabiały uczciwie na siebie, wykonując pracę, którą znały i kochały. Teraz są bez pracy. Nie ma nic, co mogłyby robić.

Zapanowała cisza. Po chwili mocno zabrzmiał głos doradcy prawnego.

– Znajdę na to sposób! Mamy względem nich dług wdzięczności! Olbrzymi dług, o najwyższym znaczeniu! Nie mogą głodować, to pewne! Czy mają, zorganizować masówki i ustawić pikiety, aby oddana im została sprawiedliwość?

– Ach – powiedział przewodniczący sądu. – Z pewnością znajdziemy jakiś sposób, by załatwić tę sprawę. Tak jak to wczoraj powiedział mi Sean

O'Donohue, przy samym dnie butelki, my Erse zawsze możemy polegać na tym, że naszymi sprawami zajmie się Święty Patryk!

KONIEC

